



MICHAŁ BUŁHAKOW

Mistrz i Małgorzata

*Mistrz
i
Malgorzata*

MICHAŁ BULHAKOW

Mistrz i Malgorzata Czarny mag

Przekład: Krzysztof Tur



Tytuł oryginału: ***Мастер и Маргарита. Черный маэ***

Przekład: **Krzysztof Tur**

Redakcja: **Andrzej Kalinowski**

Korekta: **Joanna Kłos**

Opracowanie graficzne: **Jacek Bronowski**

Projekt i opracowanie graficzne okładki: **Anna Witwicka**

Ilustracja na okładce: **Anna Jaroń**

Zdjęcia na okładce: Dreamstime.com: © Chrupka, © Olga Lepeshkina, © Kittasgraphics

© Copyright for the Polish edition, cover and layout by Wydawnictwo SBM, 2021

© Copyright for the Polish translation by Krzysztof Tur (Fundacja Sąsiedzi)

Warszawa 2021

Zgodnie z etymologią imię i nazwisko autora nazwisko powinno być transkrybowane jako Michał Bułgakov i taką wersję zastosował w swym przekładzie tłumacz. Wydawca zdecydował się jednak na wersję, do jakiej przyzwyczaili się Czytelnicy, zakorzenioną w polszczyźnie i dotychczasowych przekładach. Forma „Bułgakov” została jednak zachowana w przypisach autorstwa tłumacza.



Wydawnictwo SBM Sp. z o.o.

ul. Sułkowskiego 2/2

01-602 Warszawa

www.WYDAWNICTWO-SBM.pl

ISBN 978-83-8222-480-1

Spis treści

CZĘŚĆ PIERWSZA

ROZDZIAŁ 1	Nigdy nie rozmawiajcie z nieznajomymi	9
ROZDZIAŁ 2	Poncjusz Pilat	24
ROZDZIAŁ 3	Siódmy dowód.....	52
ROZDZIAŁ 4	Pogoń.....	58
ROZDZIAŁ 5	Była sprawa w Gribojedowie	67
ROZDZIAŁ 6	Schizofrenia, jak zapowiedziano	82
ROZDZIAŁ 7	Niedobre mieszkanie.....	92
ROZDZIAŁ 8	Pojedynek profesora z poetą.....	105
ROZDZIAŁ 9	Figle Korowiewa	116
ROZDZIAŁ 10	Wiadomości z Jalty	128
ROZDZIAŁ 11	Rozdwojenie Iwana	142
ROZDZIAŁ 12	Czarna magia i jej zdemaskowanie	147
ROZDZIAŁ 13	Objawienie bohatera	164
ROZDZIAŁ 14	Chwała kogutowi!.....	187
ROZDZIAŁ 15	Sen Nikanora Iwanowicza	198
ROZDZIAŁ 16	Każń	213
ROZDZIAŁ 17	Niespokojny dzień.....	227
ROZDZIAŁ 18	Niefortunni goście.....	242

CZĘŚĆ DRUGA

ROZDZIAŁ 19	Małgorzata	269
ROZDZIAŁ 20	Krem Azazella	285
ROZDZIAŁ 21	Lot	292
ROZDZIAŁ 22	Przy świecach.....	308
ROZDZIAŁ 23	Wielki bal u szatana	324
ROZDZIAŁ 24	Odzyskanie Mistrza	342
ROZDZIAŁ 25	Jak prokurator próbował ocalić Judę z Kiriatu.....	370
ROZDZIAŁ 26	Złożenie do grobu.....	383
ROZDZIAŁ 27	Koniec mieszkania numer 50	409
ROZDZIAŁ 28	Ostatnie przygody Korowiewa i Behemota.....	428
ROZDZIAŁ 29	Los Mistrza i Małgorzaty zostaje przesądzony	443
ROZDZIAŁ 30	Już czas! Już czas!	449
ROZDZIAŁ 31	Na Worobiowych Górach.....	463
ROZDZIAŁ 32	Przebaczenie i wieczny przytułek	467
Epilog		474

CZARNY MAG

Fragmenty wczesnych wersji powieści	491
Ewangelia według Wolanda	493
Szósty dowód	510
Niby-pieniądze.....	527
Sabat	538

Komentarze	550
------------------	-----

...kimże więc w końcu jesteś?
— Jam — część tej siły,
co wiecznie pragnie zła
i wiecznie czyni dobro.

Johann Wolfgang von Goethe, *Faust*

**CZĘŚĆ
PIERWSZA**

ROZDZIAŁ 1

Nigdy nie rozmawiajcie z nieznajomymi

W porze upalnego wiosennego zachodu¹ na Patriarszych Stawach pojawiło się dwóch obywateli. Pierwszy z nich — mniej więcej czterdziestoletni, odziany w popielaty letni garnitur — niskiego wzrostu, ciemnowłosy, pulchny, wyłysiały, swój elegancki kapelusz z „łezką” na główce niósł w rękę, a jego starannie wygolone oblicze ozdabiały nadnaturalnych rozmiarów okulary w czarnej rogowej oprawie. Drugi — barczysty, rudawy, rozczochrany młody człowiek w zsuniętej na kark kraciatej cyklistówce — miał na sobie kraciatą koszulę, wymięte białe spodnie i czarne tenisówki.

Pierwszym był nie kto inny, jak Michał Aleksandrowicz Berlioz, redaktor czasopisma kulturalnego i przewodniczący zarządu jednego z największych moskiewskich stowarzyszeń literackich, zwanego w skrócie Massolitem, a jego młodym współtowarzyszem — poeta Iwan Nikołajewicz Ponyriow, piszący pod pseudonimem Bezdomny².

Kiedy pisarze znaleźli się w cieniu okrywających się pierwszą zieleńią lip, przede wszystkim rzucili się ku jaskrawo pomalowanej budce z napisem: „Piwo i napoje”.

Tak, trzeba tu odnotować pierwszą osobliwość tego strasznego majowego wieczoru. Nie tylko koło budki, ale i w całej alei, równoległej do ulicy Bronnej, nie było żywej duszy. O tej porze, kiedy wydawało się, że nie ma już sił oddychać, kiedy słońce, rozpaliwszy Moskwę, w suchej mgle zapadało gdzieś za Sadowy Pierścień — nikt nie przyszedł pod lipy, nikt nie usiadł na ławce, aleja była pusta.

— Narzan proszę — poprosił Berlioz.

— Narzanu nie ma — odpowiedziała kobieta w budce i nie wiadomo dlaczego obraziła się.

— Piwo jest? — zachrypniętym głosem poinformował się Bezdomny.

— Piwo przywiozą pod wieczór — odparła kobieta.

— A co jest? — spytał Berlioz.

— Morelowy, ale ciepły — powiedziała kobieta.

— Może być morelowy, niech będzie!...

Morelowy wydał obfitą żółtą pianę i w powietrzu zapachniało wodą fryzjerską. Literaci napili się, natychmiast dopadła ich czkawka, zapłacili i usiedli na ławce twarzami do stawu, a plecami do Bronnej.

Wtedy stała się druga osobliwość, dotycząca samego Berlioza. Naraz przestał czkać, jego serce stuknęło i na moment gdzieś się zapadło, potem wróciło, ale z tkwiącą w nim tępą igłą. Poza tym Berlioz ogarnął nieuzasadniony, ale tak silny strach, że zapragnął natychmiast uciekać z Patriarszych, nie oglądając się za siebie.

Berlioz rozejrzał się żałośnie, nie rozumiejąc, co go tak przestraszyło. Zbladł, wytarł czoło chusteczką i pomyślał: „Co się ze mną dzieje? Nigdy czegoś takiego nie było... serce się tłucze... Chyba wszystko trzeba rzucić w diabły i do Kisłowodzka...”.

I wtedy upalne powietrze zgęstniało przed nim, i utkał się z tego powietrza przezroczysty obywatel o przedziwnej powierzchowności. Na małej główce dżokejka, zaś kraciasta marynareczka kusa i także z powietrza... Obywatel miał jakiś sążeń wzrostu, ale

w ramionach był wąski, niewiarygodnie chudy, a fizjonomię, proszę zauważyć, miał szyderczą.

Życie Berlioza układało się tak, że nie przywykł do niezwykłych zjawisk. Zbladł jeszcze bardziej, wytrzeszczył oczy i pomyślał z niepokojem: „Czegoś takiego nie może być!...”.

Ale to, niestety, było, i długi obywatel, przez którego wszystko było widać, kołysał się przed nim w lewo i w prawo, nie dotykając ziemi.

Wtedy Berlioza ogarnęła taka zgroza, że zamknął oczy. A kiedy znów je otworzył, zobaczył, że wszystko się skończyło, zjawa się rozplynęła, kraciasty zniknął, a równocześnie tępa igła wyskoczyła z serca.

— Uff, do diabła! — zawołał redaktor. — Wiesz, Iwanie, przed chwilą od tego upału omal nie dostałem udaru! Miałem nawet coś w rodzaju halucynacji... — Spróbował się uśmiechnąć, ale w jego oczach nadal dygotał lęk, a jego ręce drżały. Jednak stopniowo uspokoił się, powachlował się chusteczką, dość dziarsko oświadczył: „No więc tak...” — i zaczął znów przemowę, przerywaną piciem morelowego.

Przemowa ta, jak się potem dowiedziano, dotyczyła Jezusa Chrystusa. Rzecz w tym, że redaktor zamówił u poety wielki antyreligijny poemat do kolejnego numeru czasopisma. Iwan Nikołajewicz stworzył ten poemat i to w bardzo krótkim terminie, ale, niestety, zupełnie nie zadowolił nim redaktora. Bezdomny wymalował głównego bohatera swojego poematu, czyli Jezusa, w bardzo czarnych barwach, ale mimo to, zdaniem redaktora, trzeba było cały poemat pisać na nowo. I oto teraz redaktor wygłaszał poecie coś w rodzaju wykładu o Jezusie, po to, by podkreślić jego podstawowy błąd.

Trudno powiedzieć, co właściwie spowodowało Iwana Nikołajewicza na manowce — czy plastyczna siła jego talentu, czy kompletna nieznajomość problemu, o którym pisał — ale Jezus wyszedł mu zupełnie jak żywy, istniejący niegdyś Jezus, tyle że, co prawda, Jezus obdarzony wszystkimi najgorszymi cechami.

Berlioz zaś chciał udowodnić poecie, że najważniejsze nie jest to, jaki był Jezus, zły czy dobry, ale to, że ten Jezus jako osoba w ogóle nie istniał na świecie i że wszystkie opowieści o nim — to czyste wymysły, najzwyczajniejszy mit.

Trzeba zauważyć, że redaktor był człowiekiem czytany i bardzo zręcznie powoływał się w swojej mowie na starożytnych historyków, na przykład na znakomitego Filona z Aleksandrii, na świetnie wykształconego Józefa Flawiusza, którzy nigdy ani słowem nie wspomnieli o istnieniu Jezusa. Ujawniając solidną erudycję, Michał Aleksandrowicz poinformował poetę między innymi o tym, że ten fragment w rozdziale 44 piętnastej księgi słynnych *Roczników* Tacyta, gdzie jest mowa o kaźni Jezusa — to nic innego, jak późniejszy sfalszowany dopisek.

Poeta, dla którego wszystko, o czym dowiadywał się od redaktora, było nowością, uważnie słuchał Michała Aleksandrowicza, wlepiwszy w niego swoje bystre zielone oczy, i tylko z rzadka czał, przeklinając szeptem napój morelowy.

— Nie ma ani jednej wschodniej religii — mówił Berlioz — w której, z reguły, niepokalana dziewica nie wydałaby na świat boga. I chrześcijanie, nie wymyślając niczego nowego, dokładnie tak samo stworzyli swojego Jezusa, który w rzeczywistości nigdy nie istniał. Oto, na co trzeba położyć główny nacisk...

Wysoki tenor Berlioza rozlegał się w opustoszałej alei i w miarę, jak Michał Aleksandrowicz zapuszczał się w takie zawilości, w jakie może zapuszczać się bez ryzyka skręcenia karku tylko bardzo wykształcony człowiek — poeta dowiadywał się coraz więcej interesujących i pożytecznych rzeczy i o egipskim Ozyrysie, dobroczynnym bogu i synu Nieba i Ziemi, i o fenicjańskim bogu Tammuzie, i o Marduku, i nawet o mniej znanym groźnym bogu Huitzilopochli, którego niegdyś bardzo czcili Aztekowie w Meksyku.

I oto akurat w chwili, kiedy Michał Aleksandrowicz opowiadał poecie o tym, jak Aztekowie lepili z ciasta figurkę Huitzilopochli, w alei pojawił się pierwszy człowiek.

Potem, kiedy, mówiąc otwarcie, było już za późno, różne instytucje sporządziły swoje raporty z opisem tego człowieka. Ich porównanie nie może nie wywołać zdumienia. Tak więc w pierwszym z nich jest mowa o tym, że ów człowiek był niskiego wzrostu, zęby miał złote i utykał na prawą nogę. W drugim — że człowiek ten miał wzrost olbrzyma, koronki miał platynowe, a utykał na lewą nogę. Trzeci lakonicznie oznajmia, że pozbawiony był znaków szczególnych.

Trzeba przyznać, że ani jeden z tych raportów nie jest wart złamanego grosza.

Przede wszystkim: opisywany nie utykał na żadną nogę i wzrostu nie był ani niskiego, ani olbrzymiego, tylko po prostu wysokiego. Co się tyczy zębów, to z lewej strony miał platynowe koronki, a z prawej — złote. Ubrany był w drogi szary garnitur i zagraniczne, pod kolor garnituru, pantofle. Szary beret dziarsko załamał na ucho, pod pachą niósł laskę z czarną gałką w kształcie głowy pudła. Na oko — ponad czterdzieści lat. Usta jakby krzywe. Gładko wygolony. Brunet. Prawe oko czarne, a lewe — nie wiadomo czemu zielone. Brwi czarne, ale jedna wyżej niż druga. Słowem — cudzoziemiec.

Mijając ławkę, na której ulokowali się redaktor i poeta, cudzoziemiec zerknął na nich, zatrzymał się i nagle usiadł na sąsiedniej ławeczce, dwa kroki od przyjaciół.

„Niemiec...” — pomyślał Berlioz.

„Anglik...” — pomyślał Bezdomny. — „Że też nie jest mu gorąco w rękawiczkach”.

A cudzoziemiec obrzucił spojrzeniem wysokie domy, otaczające kwadratem staw, przy czym stało się jasne, że widzi to miejsce po raz pierwszy i że go ono zainteresowało.

Zatrzymał wzrok na górnych piętrach, odbijających szybami oślepiające, załamujące się i na zawsze opuszczające Michała Aleksandrowicza słońce, potem spuścił go w dół, gdzie szyby zaczynały ciemnieć zmierzchem, z nieznanego powodu uśmiechnął się pobłaźliwie, zmrugał oczy, oparł ręce na gałce laski, a podbródek na rękach.

— Ty, Iwanie — mówił Berlioz — bardzo dobrze i satyrycznie przedstawiłeś na przykład narodziny Chrystusa, syna Bożego, ale sęk w tym, że jeszcze przed Jezusem urodził się cały szereg synów Bożych, jak, powiedzmy, fenicki Adonis, frygijski Attis, perski Mitra. Krótko mówiąc, ani jeden z nich się nie urodził i żadnego z nich nie było, w tym także i Jezusa, i musisz zamiast narodzenia, albo, powiedzmy, przybycia magów, opisać niedorzeczne pogłoski o tym przybyciu. A z twojego poematu wynika, że on się rzeczywiście urodził!...

W tym momencie Bezdomny podjął próbę przerwania męczącej go czkawki, wstrzymując oddech, wskutek czego czknął jeszcze boleśniej i głośniej, a Berlioz w tym samym momencie przerwał swoją przemowę, ponieważ cudzoziemiec nagle wstał i skierował się ku pisarzom.

Obaj spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

— Proszę mi wybaczyć — odezwał się z cudzoziemskim akcentem, ale nie kalecząc słów, nieznanomy, podchodząc do nich — że ja, nie znając panów, pozwalam sobie... ale przedmiot uczonej dysputy panów jest tak interesujący, że...

Tu zdjął grzecznie beret i przyjaciółom nie pozostawało nic innego, jak unieść się z ławki i uklonić.

„Nie, to raczej Francuz...” — pomyślał Berlioz.

„Polak?...” — pomyślał Bezdomny.

Koniecznienie musimy dodać, że cudzoziemiec od pierwszej chwili wywarł na poecie odpychające wrażenie, a Berliozowi raczej się spodobał, to znaczy, nie tyle się spodobał, co... jak by tu powiedzieć... zainteresował go czy co.

— Pozwolą panowie, że się przysiądę? — uprzejmie poprosił cudzoziemiec i przyjaciele jakoś mimo woli rozsunęli się; cudzoziemiec zręcznie usiadł między nimi i natychmiast nawiązał rozmowę:

— Jeżeli się nie przesłyszałem, raczył pan powiedzieć, że Jezus nigdy nie istniał? — spytał cudzoziemiec, zwracając ku Berliozowi swoje lewe zielone oko.

— Nie, nie przesłyszał się pan — grzecznie odparł Berlioz — właśnie to mówiłem.

— Ach, jakie to ciekawe! — zawołał cudzoziemiec.

„O co mu chodzi, do diabła?” — pomyślał Bezdorny i nachmużył się.

— A pan się zgodził ze swoim rozmówcą? — poinformował się nieznajomy, zwracając się w prawo ku Bezdornemu.

— Na sto procent! — potwierdził zapytany, lubiący wyrażać się w sposób wymyślny i metaforyczny.

— Zdumiewające! — zawołał nieproszony rozmówca, rozejrzawszy się nie wiadomo czemu jak złodziej, i tłumiąc swój niski głos, powiedział: — Proszę mi wybaczyć natarczywość, ale zrozumiałem to tak, że panowie, poza wszystkim innym, nie wierzycie także w Boga? — Zrobił wystraszone oczy i dodał: — Przysięgam, że nikomu nie powiem.

— Tak, nie wierzymy w Boga — odparł Berlioz i uśmiechnął się z lekka, widząc przestrach zagranicznego turysty — ale o tym można mówić zupełnie swobodnie.

Cudzoziemiec odchylił się na oparcie ławki i spytał, aż pisnąwszy z ciekawości:

— Panowie są ateistami?

— Tak, jesteśmy ateistami — odparł Berlioz, uśmiechając się, a Bezdorny pomyślał ze złością: „Ależ się przyczepił, zagraniczny cymbał!”.

— Och, jakie to urocze! — krzyknął zdumiewający cudzoziemiec i pokręcił głową, patrząc to na jednego, to na drugiego literata.

— W naszym kraju ateści nikogo nie dziwią — powiedział Berlioz z dyplomatyczną uprzejmością. — Większość naszej populacji już od dawna świadomie przestała wierzyć w bajki o Bogu.

Wtedy cudzoziemiec zrobił coś takiego: wstał i uściśnął zdumionemu redaktorowi rękę, wygłaszając przy tym takie słowa:

— Pozwoli pan, że mu z całego serca podziękuję!

— A za cóż to mu pan dziękuje? — mrugając oczami, poinformował się Bezdomny.

— Za bardzo ważną informację, która dla mnie, jako podróżnika, jest nadzwyczaj interesująca — wyjaśnił zagraniczny dziwak, znacząco unosząc palec.

Ważna informacja najwidoczniej wywarła na podróżniku rzeczywiście silne wrażenie, ponieważ z przestrachem obrzucił spojrzeniem domy, jakby obawiał się, że w każdym oknie zobaczy po jednym ateście.

„Nie, to nie Anglik...” — pomyślał Berlioz, a Bezdomny pomyślał: „Ciekawe, gdzie on się tak wyuczył mówić po rosyjsku!” — i znowu się nachmurzył.

— Ale pozwólcie panowie, że spytam — po chwili niespokojnej zadumy odezwał się zagraniczny gość — co w takim razie począć z dowodami na istnienie Boga, których, jak wiadomo, jest dokładnie pięć?

— Niestety! — odparł ze współczuciem Berlioz. — Ani jeden z tych dowodów nie jest nic wart i ludzkość już dawno umieściła je w archiwum. Zgodzi się pan przecież, że w kategoriach rozumu nie może być żadnego dowodu na istnienie Boga.

— Brawo! — zawołał cudzoziemiec. — Brawo! Dokładnie powtórzył pan myśl zapalczywego staruszka Immanuela na ten temat. Ale cóż za zabawna historia: doszczętnie unicestwił wszystkie pięć dowodów, po czym, jakby na ironię wobec samego siebie, zmajstrował własny szósty dowód!

— Dowód Kanta — z delikatnym uśmiechem sprzeciwił się uczony redaktor — także jest nieprzekonujący. Schiller nie bez racji mówił, że rozważania Kanta na ten temat mogą zadowolić tylko niewolników, a Strauss po prostu wyśmiał ten dowód.

Berlioz mówił, a równocześnie myślał: „A swoją drogą, któż to taki? I dlaczego tak dobrze mówi po rosyjsku?”.

— Wysłać by tego Kanta za takie dowody na trzy lata na Sołowki! — zupełnie nieoczekiwanie wybuchnął Iwan Nikołajewicz.

— Iwanie! — szepnął zmieszany Berlioz.

Lecz propozycja, by wyprawić Kanta na Sołowki, nie tylko nie zdziwiła cudzoziemca, ale nawet wzbudziła jego zachwyt.

— Właśnie, właśnie — zawołał, a jego lewe zielone oko, zwrócone ku Berliozowi, zabłysło — tam jest jego miejsce! Przecież mówiłem mu wtedy przy śniadaniu: „Jak pan sobie życzy, profesorze, ale wymyślił pan coś niedorzecznego. Może to i mądre, ale okropnie niezrozumiałe. Będą się z pana śmiać”.

Berlioz wytrzeszczył oczy. „Przy śniadaniu?... Kantowi?... Co on plecie?...” — pomyślał.

— Ale — ciągnął cudzoziemiec, niespeszony zdumieniem Berlioza, zwracając się do poety — wysłanie go na Sołowki jest niemożliwe z tego powodu, że już od stu lat z okładem przebywa w miejscach o wiele bardziej oddalonych niż Sołowki, i zapewniam pana, w żaden sposób nie można go stamtąd wydobyć!

— A szkoda! — odezwał się zawadiacki poeta.

— I ja żałuję — potwierdził nieznajomy, łypiąc okiem, i ciągnął: — Ale niepokoi mnie oto jaki problem: jeżeli Boga nie ma, to powstaje pytanie: któż to kieruje ludzkim życiem i w ogóle całym biegiem rzeczy na ziemi?

— Kieruje sam człowiek — Berlioz skwapliwie udzielił gniewnej odpowiedzi na to, trzeba przyznać, nie całkiem jasne pytanie.

— Proszę wybaczyć — łagodnie odezwał się nieznajomy — żeby kierować, trzeba bądź co bądź mieć dokładny plan na jakiś choćby

cokolwiek przyzwoity okres. Pozwoli pan, że spytam, jak człowiek może kierować, jeżeli jest pozbawiony nie tylko możliwości ułożenia jakiegokolwiek planu choćby na śmiesznie krótki okres, no, powiedzmy na jakieś tysiąc lat, ale nie może ręczyć nawet za swój własny następny dzień? Bo w rzeczy samej — tu nieznajomy odwrócił się do Berlioza — proszę sobie wyobrazić, że na przykład zaczyna pan zarządzać, decydować o sobie i innych, w ogóle, że tak powiem, rozpędzać się, i nagle okazuje się, że ma pan... kche... kche... sarkomę płuc — tu cudzoziemiec uśmiechnął się słodko, jakby myśl o sarkomie płuc sprawiła mu przyjemność — tak, sarkomę — mrużąc oczy jak kot, powtórzył dźwięczne słowo — i oto pańskie zarządzanie skończyło się! Niczyj los, oprócz własnego, już pana nie interesuje. Rodzina zaczyna pana okłamywać. Pan, przeczuwając coś złego, biega do uczonych lekarzy, potem do szarlatanów, a bywa, że i do znachorek. Zarówno pierwsze, jak i drugie, i trzecie — jest zupełnie bezsensowne i sam pan to rozumie.

I wszystko to kończy się tragicznie: ten, kto jeszcze niedawno przypuszczał, że czymś kieruje, nagle znajduje się w drewnianej skrzynce, leżąc nieruchomo, a otoczenie, zdając sobie sprawę, że z leżącego nie ma już żadnego pożytku, pali go w piecu. A bywa jeszcze gorzej: ledwie człowiek postanowił wybrać się do Kisłowodzka — tu cudzoziemiec zmrużył oczy na Berlioza — wydawałoby się, drobiazg — ale i tego nie może zrobić, ponieważ nie wiadomo dlaczego nagle się poślizgnął i wpada pod tramwaj! Czy może pan powiedzieć, że to on sam tak sobą pokierował? Czy nie słuszniej jest sądzić, że pokierował nim ktoś zupełnie inny? — i tu nieznajomy dziwnie się roześmiał.

Berlioz z wielką uwagą słuchał nieprzyjemnego opowiadania o sarkomie i tramwaju i zaczęły go niepokoić jakieś trwożne myśli. „To nie cudzoziemiec... to nie cudzoziemiec...” — myślał — „to przedziwne indywiduum... ale za pozwoleniem, kto to taki?...”.

— Jak widzę, chciałby pan zapalić? — nieznajomy niespodziewanie zwrócił się do Bezdomnego. — Jakie pan sobie życzy?

— A pan ma do wyboru czy jak? — ponuro zapytał poeta, któremu skończyły się papierosy.

— Jakie pan sobie życzy? — powtórzył nieznajomy.

— No, „Naszą Markę” — odparł ze złością Bezdomny.

Nieznajomy niezwłocznie wyciągnął z kieszeni papierośnicę i podsunął ją Bezdomnemu:

— „Nasza Marka”³.

I redaktora, i poetę zadziwiło nie tyle to, że w papierośnicy znalazła się właśnie „Nasza Marka”, ile sama papierośnica. Była ogromnych rozmiarów, z dukatowego złota, a na jej wieczku podczas otwierania zabłysnął błękitnym i białym ogniem brylantowy trójkąt.

Każdy z literatów pomyślał wtedy co innego. Berlioz: „Nie, to cudzoziemiec!”, a Bezdomny: „A niech go diabli wezmą!...”.

Poeta i właściciel papierośnicy zapalili, a niepalący Berlioz odmówił.

„Trzeba będzie odpowiedzieć mu tak — postanowił Berlioz: — tak, człowiek jest śmiertelny, nikt temu nie przeczy. Ale rzecz w tym, że...”.

Jednak nie zdążył jeszcze tego powiedzieć, kiedy odezwał się cudzoziemiec:

— Tak, człowiek jest śmiertelny, ale to byłoby jeszcze pół biedy. Gorzej, że czasem jest śmiertelny zniechacka, oto w czym sęk! I w ogóle nie może powiedzieć, co będzie robić dzisiaj wieczorem.

„To jakieś niedorzeczne postawienie zagadnienia...” — pomyślał Berlioz i zaprotestował:

— No, to już jest przesada. Wiem bardziej lub mniej dokładnie, co będzie dziś wieczorem. Rozumie się samo przez się, jeżeli na Bronnej nie spadnie mi cegła na głowę...

— Cegła — przerwał mu surowo nieznajomy — nigdy i nikomu nie spada ni z tego, ni z owego na głowę. W szczególności zaś, zapewniam pana, panu nie grozi to w żadnym wypadku. Umrze pan inną śmiercią.

— Może wie pan, jaką mianowicie? — z całkiem naturalną ironią poinformował się Berlioz, dając się wciągnąć w jakąś zupełnie już bezsensowną rozmowę. — I może mi pan powie?

— Z przyjemnością — odparł nieznajomy. Zmierzył Berlioza wzrokiem, jakby chciał uszyć mu garnitur, wymamrotał przez zęby coś w rodzaju: „Raz, dwa... Merkury w drugim domu... księżyc zniknął... sześć — nieszczęście... wieczór... siedem...” — i głośno i radośnie oznajmił: — Utną panu głowę!

Bezdomny dziko i wściekle wytrzeszczył oczy na nonszalanckiego nieznajomego, a Berlioz spytał, uśmiechając się krzywo:

— A kto konkretnie? Wrogowie? Interwenci?

— Nie — odpowiedział rozmówca. — Rosjanka, komсомółka.

— Hm... — mruknął zirytowany żartem nieznajomego Berlioz — to już, wybaczy pan, mało prawdopodobne.

— Proszę i mnie wybaczyć — odparł cudzoziemiec — ale tak właśnie będzie. Tak, chciałbym pana zapytać, co pan będzie robił dziś wieczorem, jeżeli to nie sekret?

— Nie ma w tym żadnego sekretu. Teraz wstąpię do siebie na Sadową, a potem o dziesiątej wieczorem odbędzie się w Massolicie posiedzenie, a ja będę na nim przewodniczył.

— Nie, tego w żadnym wypadku być nie może — stanowczo zaprzeczył cudzoziemiec.

— A to dlaczego?

— Dlatego — odparł cudzoziemiec i zmrużonymi oczami popatrzył na niebo, gdzie, przeczuwając już wieczorny chłód, bezszelestnie krążyły czarne ptaki — że Annuszka już kupiła olej słonecznikowy, i nie tylko kupiła, ale nawet rozlała. Tak że posiedzenie się nie odbędzie.

Wtedy, co zupełnie zrozumiałe, pod lipami zapadło milczenie.

— Wybaczy pan — odezwał się po chwili Berlioz, przyglądając się plotacemu od rzeczy cudzoziemcowi — ale co ma do tego olej słonecznikowy... i jakaś Annuszka?

— Tyle ma do tego olej słonecznikowy... — odezwał się nagle Bezdomny, postanawiając widocznie wypowiedzieć nieznanemu wojnę. — Czy nie zdarzało się wam, obywatelu, bywać kiedyś w szpitalu dla umysłowo chorych?

— Iwanie!... — zawołał cicho Michał Aleksandrowicz.

Ale cudzoziemiec ani trochę się nie obraził i roześmiał się radośnie.

— Bywałem, bywałem, i to nie raz! — zawołał, śmiejąc się, ale nie spuszczać z poety nieśmiejącego się oka. — Gdzież to ja nie bywałem! Szkoda tylko, że nie zdążyłem spytać profesora, co to jest schizofrenia. Więc niechże pan sam się tego dowie od niego, Iwanie Nikołajewiczu!

— Skąd pan wie, jak się nazywam?

— Ależ Iwanie Nikołajewiczu, któż pana nie zna? — Tu cudzoziemiec wyciągnął z kieszeni wczorajszy numer „Literaturnoj Gazety” i Iwan Nikołajewicz już na pierwszej stronie zobaczył swój wizerunek, a pod nim swoje własne wiersze. Ale ten dowód sławy i popularności, który jeszcze wczoraj cieszył poetę, tym razem wcale go nie uradował.

— Przepraszam — powiedział, a jego twarz pociemniała — czy nie mógłby pan poczekać chwilę? Chcę zamienić parę słów z towarzyszem.

— O, z przyjemnością! — zawołał nieznajomy. — Tak miło tu pod lipami, a ja zresztą nigdzie się nie śpieszę.

— Posłuchaj, Misza — zaczął szeptać poeta, odciągawszy Berlioza na bok — to nie żaden zagraniczny turysta, tylko szpieg. To rosyjski emigrant, który się do nas przedostał. Spytaj go o dokumenty, bo jeszcze ucieknie...

— Tak myślisz? — niespokojnie szepnął Berlioz, a sam pomyślał: „Przecież on ma rację...”.

— Możesz mi wierzyć — syknął mu do ucha poeta — udaje głupka, żeby o coś wypytać. Słyszysz, jak mówi po rosyjsku — poeta mówił i zerkał z ukosa, pilnując, żeby nieznajomy nie uciekł — chodź, zatrzymamy go, bo jeszcze zwieje...

I poeta pociągnął Berlioza za rękę do ławki. Nieznajomy już nie siedział, tylko stał koło niej, trzymając w ręku jakąś książeczkę w ciemnoszarej okładce, sztywną kopertę z dobrego papieru i wizytówkę.

— Wybaczcie mi, panowie, że w ferworze naszego sporu zapomniałem się panom przedstawić. Oto moja wizytówka, paszport i zaproszenie do Moskwy na konsultację — mówił dobitnie nieznajomy, patrząc przenikliwie na obu literatów.

Literaci speszyli się. „Do diabła, wszystko słyszał” — pomyślał Berlioz i grzecznym gestem dał do zrozumienia, że nie ma potrzeby okazywania dokumentów. Kiedy cudzoziemiec podsuwał je redaktorowi, poeta zdążył zauważyć na wizytówce wydrukowane obcymi literami słowo: „profesor” i pierwszą literę nazwiska — „W”.

— Bardzo mi przyjemnie — mamrotał tymczasem zmieszany redaktor i cudzoziemiec schował dokumenty do kieszeni.

Stosunki zostały w ten sposób wznowione i wszyscy trzech znów usiedli na ławce.

— Został pan zaproszony do nas w charakterze konsultanta, profesorze? — spytał Berlioz.

— Tak, konsultanta.

— Pan jest Niemcem? — poinformował się Bezdomny.

— Ja? — odpowiedział pytaniem profesor i naraz się zamyślił. — Tak, chyba jestem Niemcem... — powiedział.

— Nieźle mówi pan po rosyjsku — zauważył Bezdomny.

— O, w ogóle jestem poliglotą i znam bardzo wiele języków — odpowiedział profesor.

— A jaka jest pańska specjalność? — poinformował się Berlioz.

— Jestem specjalistą od czarnej magii.

„Masz tobie!” — stuknęło w głowie Michała Aleksandrowicza.

— I... i zaproszono pana do nas z racji tej specjalności? — spytał, zająknąwszy się.

— Tak, z tej racji zaproszono — potwierdził profesor i wyjaśnił: — Tutaj w bibliotece państwowej odkryto oryginalne rękopisy czarno-księżnika Herberta d'Aurillaca⁴ z dziesiątego wieku. A więc istnieje potrzeba, żebym je zbadał. Jestem jedynym specjalistą na świecie.

— A-a! Jest pan historykiem? — z wielką ulgą i szacunkiem spytał Berlioz.

— Jestem historykiem — potwierdził uczony i dodał ni z gruszki, ni z pietruszki: — Dziś wieczorem na Patriarszych Stawach zdarzy się ciekawa historia!

Redaktor i poeta znów zdziwili się niezmiernie, a profesor przywołał ich palcem do siebie i kiedy pochylili się ku niemu, szepnął:

— Weźcie pod uwagę, że Jezus istniał.

— Widzi pan, profesorze — z wymuszonym uśmiechem odezwał się Berlioz — szanujemy pańską wielką wiedzę, ale sami w tej kwestii mamy inny punkt widzenia.

— Nie trzeba tu żadnych punktów widzenia — odparł dziwny profesor. — Po prostu istniał i tyle.

— Ale potrzebny jest przecież jakiś dowód... — zaczął Berlioz.

— Żadne dowody też nie są potrzebne — odpowiedział profesor i zaczął cicho mówić, przy czym jego obcy akcent jakimś sposobem zniknął. — Wszystko to jest proste: w białym płaszczu z krwawym podbiciem, zamaszystym krokiem kawalerzysty, wczesnym rankiem czternastego dnia wiosennego miesiąca nissan...

ROZDZIAŁ 2

Poncjusz Piłat

W białym płaszczu z krwawym podbiciem, zamaszystym krokiem kawalerzysty, wczesnym rankiem czternastego dnia wiosennego miesiąca nissan pod krytą kolumnadę pomiędzy dwoma skrzydłami pałacu Heroda Wielkiego wyszedł prokurator Judei Poncjusz Piłat.

Ponad wszystko na świecie prokurator nienawidził zapachu olejku różanego i teraz wszystko zwiastowało zły dzień, ponieważ ten zapach prześladował go od świtu. Prokuratorowi zdawało się, że zapach róż roztańczają cyprysy i palmy w ogrodzie, że z zapachem skórzanego oporządzenia i potu jego straży przybocznej miesza się przeklęta różowa strużka. Z oficyn na tyłach pałacu, gdzie rozlokowała się przybyła z prokuratorem do Jeruszałajim pierwsza kohorta dwunastego Legionu Błyskawic, ciągnęło pod kolumnadę dymkiem przez górny taras ogrodu, i do gorzkawego dymu, świadczącego o tym, że kucharze w centuriach zaczynają przygotowywać obiad, dołączał się wciąż ten sam tłusty różany aromat.

„O, bogowie, bogowie, za co mnie karzecie?... Tak, to niewątpliwie ona, znów ona, niepokonana, straszna choroba... hemikrania, przy której boli pół głowy... nie ma na nią sposobów, nie ma żadnego ratunku... spróbuję nie ruszać głową...”.

Na mozaikowej posadzce koło fontanny przygotowany był już fotel i prokurator, nie patrząc na nikogo, usiadł na nim i wyciągnął w bok rękę. Sekretarz z szacunkiem włożył w tę rękę kawałek pergaminu. Nie mogąc powstrzymać bolesnego grymasu, prokurator kątem oka pobieżnie przejrzał tekst, zwrócił pergamin sekretarzowi i z trudem wyrzekł:

— Podsądny z Galilei? Posyłano sprawę do tetrarchy?

— Tak, prokuratorze — odpowiedział sekretarz.

— I cóż on?

— Odmówił wydania orzeczenia w tej sprawie i wyrok śmierci Sanhedrynu skierował do twego zatwierdzenia — wyjaśnił sekretarz.

Policzek prokuratora drgnął, kiedy cicho powiedział:

— Przyprawiajcie oskarżonego.

I natychmiast z ogrodowego tarasu dwóch legionistów wprowadziło pod kolumny i postawiło przed fotelem prokuratora dwudziestosiedmioletniego człowieka. Ten człowiek był ubrany w stary i podarty niebieski chiton. Głowę miał przykrytą białą chustą z rzemykiem wokół czoła, a ręce związane za plecami. Pod jego lewym okiem był wielki siniak, a w kącie ust — zadrapanie z zaschniętą krwią. Doprowadzony patrzył na prokuratora z lękliwą ciekawością.

Prokurator pomilczał chwilę, po czym spytał cicho po aramejsku:

— A więc to ty namawiałeś lud, żeby zburzył świątynię jerozolimską?

Prokurator siedział przy tym jak skamieniały i tylko jego usta ledwie się poruszały przy wymawianiu słów. Był jak skamieniały, ponieważ bał się kiwnąć płonąca w piekielnym bólu głową.

Człowiek ze związanymi rękami posunął się nieco do przodu i zaczął mówić:

— Dobry człowieku! Uwierz mi...

Ale prokurator, tak samo nie poruszając się i ani trochę nie podnosząc głosu, natychmiast mu przerwał:

— Czy to mnie nazywasz dobrym człowiekiem? Mylisz się. W Jeruszałajim wszyscy szepczą o mnie, że jestem okrutnym potworem, i to jest szczerą prawdą. — I tak samo monotonicznie dorzucił: — Centurion Szczurobójca do mnie.

Wszystkim zdawało się, że na tarasie pociemniało, kiedy centurion pierwszej centurii Marek, zwany Szczurobójcą, stanął przed prokuratorem. Szczurobójca był o głowę wyższy od najwyższego z żołnierzy legionu i tak szeroki w barach, że całkiem zasłonił niewysokie jeszcze słońce.

Prokurator zwrócił się do centuriona po łacinie:

— Przestępca nazywa mnie „dobrym człowiekiem”. Wyrowadź go stąd na chwilę i wyjaśnij mu, jak trzeba ze mną rozmawiać. Tylko nie kalecz.

Wszyscy, oprócz nieruchomego prokuratora, odprowadzili wzrokiem Marka Szczurobójcę, który kiwnął ręką na aresztowanego, wskazując, że ma iść za nim.

Szczurobójcę w ogóle wszyscy odprowadzali wzrokiem, gdziekolwiek się pojawił, z powodu jego wzrostu, a ci, którzy widzieli go po raz pierwszy, jeszcze i dlatego, że twarz centuriona była zeszpecona: jego nos został kiedyś zmiażdżony ciosem germańskiej maczugi.

Ciężkie buty Marka zastukały o mozaikę, związany bezszelestnie poszedł za nim, pod kolumnadą zapadło kompletne milczenie i słychać było, jak nieopodal gruchały gołębie na tarasie ogrodu, i jeszcze wodę, śpiewającą w fontannie wymyślną i przyjemną melodię.

Prokuratorowi zachciało się wstać, podstawić skroń pod strużkę i tak zastygnać. Ale wiedział, że to mu nie pomoże.

Wyprowadziwszy aresztowanego spod kolumn do ogrodu, Szczurobójca wyjął bicz z rąk legionisty, stojącego u stóp brązowego posągu, i zamachnąwszy się nieznacznie, uderzył aresztowanego po plecach. Ruch centuriona był niedbały i lekki, ale związany momentalnie runął na ziemię, jakby podcięto mu nogi, zachłysnął się powietrzem, rumieniec zniknął z jego twarzy, a oczy stały się nieprzytomne.

Marek lekko, tylko lewą ręką, jak pusty worek poderwał leżącego w górę, postawił go na nogach i powiedział przez nos, źle wymawiając aramejskie słowa:

— Do rzymskiego prokuratora zwracać się „hegemonie”. Innych słów nie mówić. Stać spokojnie. Zrozumiałeś czy mam cię uderzyć?

Aresztowany zachwiał się, ale zapanował nad sobą, rumieniec powrócił mu, wstrzymał oddech i odpowiedział ochryple:

— Zrozumiałem cię. Nie bij mnie.

Po chwili znów stał przed prokuratorem.

Zabrzmiął stłumiony, boleściwy głos:

— Imię?

— Moje? — skwapliwie odezwał się aresztowany, całą swoją osobą wyrażając gotowość rzeczowego odpowiadania, żeby nie wzbudzić więcej gniewu.

Prokurator powiedział półgłosem:

— Swoje imię znam. Nie udawaj głupszego, niż jesteś. Twoje.

— Jezua — pośpiesznie odpowiedział aresztant.

— Masz przydomek?

— Ha Nocri.

— Skąd pochodzisz?

— Z miasta Gamala — odpowiedział aresztant, wskazując głową, że gdzieś tam daleko, na prawo od niego, na północy, jest miasto Gamala.

— Jakiej jesteś krwi?

— Nie wiem dokładnie — żywo odpowiedział aresztowany — nie pamiętam swoich rodziców. Mówiono mi, że mój ojciec był Syryjczykiem...

— Gdzie stale mieszkasz?

— Nie mam stałego miejsca zamieszkania — odpowiedział z zawstyżeniem aresztant — wędruję z miasta do miasta.

— Można to nazwać krócej, jednym słowem — włóczęga — powiedział prokurator i spytał: — Masz rodzinę?

— Nie mam nikogo. Jestem sam na świecie.

— Umiesz czytać?

— Tak.

— Znasz jakiś język, oprócz aramejskiego?

— Znam. Grecki.

Opuchnięta powieka uniosła się, zaciągnięte mgiełką cierpienia oko spojrzało na aresztowanego. Drugie oko pozostało zamknięte.

Piłat odezwał się po grecku:

— A więc to ty zamierzałeś zburzyć gmach świątyni i wzywałeś do tego ludzi?

Wtedy aresztant znów się ożywił, jego oczy przestały wyrażać lęk i zaczął mówić po grecku:

— Ja, dob... — w tym momencie strach przemknął w oczach aresztanta, ponieważ omal się nie przejęzyczył — ja, hegemonie, nigdy w życiu nie zamierzałem burzyć gmachu świątyni i nikogo nie namawiałem do tego bezsensownego czynu.

Zdziwienie odbiło się na twarzy sekretarza, zgarbionego nad niziutkim stolikiem i zapisującego zeznania. Podniósł głowę, ale natychmiast znów ją pochylił nad pergaminem.

— Mnóstwo różnych ludzi napływa do tego miasta na święto. Bywają wśród nich magowie, astrologowie, jasnowidze i mordercy — mówił monotonna prokurator. — Trafiają się też łgarze. Ty na przykład jesteś łgarzem. Tu jest jasno zapisane: namawiał do zburzenia świątyni. Tak świadczą ludzie.

— Ci dobrzy ludzie — zaczął mówić aresztant i szybko dodawszy: — hegemonie, ciągnął: — niczego się nie uczyli i wszystko, co mówiłem,

poprzekręcali. W ogóle zaczynam się obawiać, że to zamieszanie będzie trwać bardzo długi czas. A wszystko dlatego, że on nieścisłe zapisuje moje słowa.

Nastąpiło milczenie. Teraz już oboje chorych oczu ciężko patrzyło na aresztanta.

— Powtarzam ci, ale po raz ostatni: przestań udawać obłąkanego, złoczyńco — powiedział monotonnie i łagodnie Płat — niewiele twoich słów zapisano, ale tego, co zapisano, wystarczy, żeby cię powiesić.

— Nie, nie, hegemonie — cały wyprężony w pragnieniu, żeby go przekonać, mówił aresztowany — jeden taki chodzi i chodzi za mną z kozim pergaminem i nieustannie pisze. A ja kiedyś zajrzałem do tego pergaminu i przeraziłem się. Nie mówiłem dosłownie nic z tego, co tam jest zapisane. Błagałem go: spal, na Boga, swój pergamin! Ale on mi go wyrwał z rąk i uciekł.

— Kto taki? — z odrazą zapytał Płat i dotknął ręką skroni.

— Mateusz Lewita — ochoczo wyjaśnił aresztant. — Był poborcą podatków i spotkałem się z nim po raz pierwszy na drodze w Betfage⁵, tam gdzie biegnie ona koło sadu figowego, i zacząłem z nim rozmawiać. Z początku odniósł się do mnie nieprzyjaźnie i nawet mnie obraził, to znaczy myślał, że mnie obraża, nazywając mnie psem — tu aresztant uśmiechnął się. — Ja osobiście nie widzę niczego złego w tym zwierzęciu, żeby się obrażać za to słowo...

Sekretarz przestał zapisywać i ukradkiem rzucił zdziwione spojrzenie, ale nie na aresztowanego, tylko na prokuratora.

— ...kiedy mnie jednak posłuchał, stał się łagodniejszy — ciągnął Jezua. — W końcu rzucił pieniądze na drogę i powiedział, że pójdzie ze mną wędrować.

Płat uśmiechnął się jednym policzkiem, wyszczerzając żółte zęby, i przemówił, obróciwszy się całym tułowiem ku sekretarzowi:

— O, miasto Jeruzalajim! Czegóż to nie można w nim usłyszeć! Słyszycie — poborca podatków rzucił pieniądze na drogę!

Nie wiedząc, co na to odpowiedzieć, sekretarz uznał za stosowne powtórzyć uśmiech Piłata.

— A on powiedział, że pieniądze są mu odtąd nienawistne — wyjaśnił Jezua dziwne postępowanie Mateusza Lewity i dodał: — I od tej pory stał się moim współtowarzyszem.

Wciąż jeszcze szczerząc zęby, prokurator popatrzył na aresztowanego, potem na słońce, wznoszące się nieubłagane w górę nad konnymi posągami hipodromu, leżącego w dole po prawej, i nagle w jakiejś dusznej udręce pomyślał o tym, że najprościej byłoby wygnać z tarasu tego dziwnego złoczyncę, wypowiadając tylko dwa słowa: „Powiesić go!”. Wypędzić także straż przyboczną, wyjść spod kolumnady w głąb pałacu, kazać zaciemnić pokój, rzucić się na łożo, zażądać zimnej wody, zbolałym głosem przywołać psa Bangę i poskarżyć się mu na hemikranię. I w chorej głowie prokuratora przemknęła nagle kusząco myśl o truciznie.

Patrzył mętnymi oczami na aresztowanego i jakiś czas milczał, przypominając sobie z wysiłkiem, dlaczego w bezlitosnym poranym jerozolimskim skwarze stoi przed nim aresztant z twarzą zeszpeconą śladami pobicia, i jakie jeszcze nikomu niepotrzebne pytania będzie musiał mu zadać.

— Mateusz Lewita? — ochrypłym głosem spytał chory i zamknął oczy.

— Tak, Mateusz Lewita — dobiegł do niego wysoki, dręczący go głos.

— A swoją drogą, co mówiłeś tłumowi na bazarze o świątyni?

Wydawało się, że niewymownie męczący głos odpowiadającego klucze Piłata w skroń, i ten głos mówił:

— Hegemonie, mówiłem o tym, że runie świątynia starej wiary i powstanie nowa świątynia prawdy. Powiedziałem tak, żeby to było bardziej zrozumiałe.

— Dlaczego ty, włóczęga, podburzałeś na bazarze ludzi, opowiadając o prawdzie, o której nie masz pojęcia? Co to jest prawda?

I tu prokurator pomyślał: „O, bogowie moi! Pytam go na sądzie o coś zupełnie niepotrzebnego... Mój umysł odmawia posłuszeństwa...”. I znów zamajaczył przed nim kielich z ciemnym płynem. „Trucizny dajcie, trucizny...”.

I znowu usłyszał głos:

— Prawdą jest przede wszystkim to, że boli cię głowa, i boli cię tak bardzo, że tchórzliwie myślisz o śmierci. Nie tylko brak ci sił, by ze mną rozmawiać, ale trudno ci nawet patrzeć na mnie. I teraz mimo woli jestem twoim katem, nad czym ubolewam. Nie możesz nawet myśleć o czymkolwiek i marzysz tylko o tym, żeby przyszedł twój pies, zapewne jedyne stworzenie, do którego jesteś przywiązany. Ale twoje cierpienia zaraz się skończą, ból minie.

Sekretarz wytrzeszczył oczy na więźnia i nie skończył pisać słowa.

Piłat uniósł na aresztanta męczeński wzrok i zobaczył, że słońce stoi już dość wysoko nad hipodromem, a promień przeniknął pod kolumnadę i skrada się ku zdeptanym sandałom Jezui, który uchyła się przed słońcem.

Wtedy prokurator wstał z fotela, ścisnął głowę rękami i na jego złotawej, wygolonej twarzy odmalował się strach. Ale natychmiast stłumił go siłą woli i znów osunął się na fotel.

Zaś aresztant tymczasem mówił nadal, ale sekretarz niczego już nie zapisywał, tylko wyciągnąwszy szyję jak gęś, starał się nie uronić ani jednego słowa.

— No i wszystko się już skończyło — mówił aresztowany, spoglądając życzliwie na Piłata — i ja się z tego niezmiernie cieszę. Radziłbym ci, hegemonie, opuścić na jakiś czas pałac i pospacerować piechotą gdzieś w okolicy, choćby w ogrodach na Górze Oliwnej. Burza zacznie się... — aresztant odwrócił się, mrużąc oczy przed słońcem — ...później, pod wieczór. Spacer przyniósłby ci wielki pożytek, a ja bardzo chętnie bym ci towarzyszył. Przyszły mi do głowy pewne nowe myśli, które mogłyby, jak sądzę, wydać ci się interesujące,

i chętnie się nimi z tobą podzielę, tym bardziej, że sprawiasz wrażenie bardzo mądrego człowieka.

Sekretarz pobladł śmiertelnie i upuścił zwój na podłogę.

— Cała bieda w tym — ciągnął przez nikogo nie powstrzymywany więzień — że jesteś nadmiernie skryty i całkiem utraciłeś wiarę w ludzi. Zgodzisz się przecież, że nie można obdarzać całym swoim przywiązaniem psa. Twoje życie jest ubogie, hegemonie — i tu mówiący pozwolił sobie uśmiechnąć się.

Sekretarz myślał teraz tylko o jednym: czy wierzyć własnym uszom, czy nie wierzyć. Wypadało wierzyć. Wtedy próbował wyobrazić sobie, w jakiej mianowicie wymyślnej formie przejawia się gniew zapalczywego prokuratora wobec tego niesłychanego zuchwalstwa aresztowanego. I tego właśnie sekretarz nie potrafił sobie wyobrazić, chociaż dobrze znał prokuratora.

Wtedy rozległ się chropawy, zachrypnięty głos prokuratora, mówiącego po łacinie:

— Rozwiążcie mu ręce.

Jeden z legionistów straży przybocznej stuknął włócznią, oddał ją innemu, podszedł i zdjął powrozy z rąk aresztanta. Sekretarz podniósł zwój, postanawiając na razie niczego nie zapisywać i niczemu się nie dziwić.

— Przyznaj się — spytał cicho po grecku Piłat — jesteś wielkim lekarzem?

— Nie, prokuratorze, nie jestem lekarzem — odparł aresztant, z rozkoszą rozcierając ślady więzów na purpurowym, opuchniętym nadgarstku.

Piłat spođe łba surowo świdrował oczyma aresztanta i oczy te już nie były mętne, już pojawiły się w nich znane wszystkim iskry.

— Nie pytałem cię — powiedział Piłat — ale może znasz także łacinę?

— Tak, znam — odparł aresztant.

Rumieniec wystąpił na żółtawych policzkach Piłata, który spytał po łacinie:

— Skąd wiedziałeś, że chciałem przywołać psa?

— To bardzo proste — odpowiedział po łacinie aresztant. — Poruszałeś ręką w powietrzu — i aresztant powtórzył gest Płłata — jakbyś chciał kogoś pogłaskać, a usta...

— Tak — powiedział Płłat.

Chwilę milczeli. Potem Płłat zadał pytanie po grecku:

— A więc jesteś lekarzem?

— Nie, nie — żywo odparł aresztant — uwierz mi, nie jestem lekarzem.

— No, dobrze. Jeżeli chcesz utrzymywać to w tajemnicy, utrzymuj. Nie ma to bezpośredniego związku ze sprawą. A więc twierdzisz, że nie wzywałeś do zburzenia... czy też podpalenia albo zniszczenia jakimkolwiek innym sposobem świątyni?

— Hegemonie, powtarzam: nikogo nie wzywałem do podobnych czynów. Czy wyglądam na niedorozwiniętego?

— O nie, ty nie wyglądasz na niedorozwiniętego — cicho odpowiedział prokurator i jego twarz wykrzywił jakiś przerażający uśmiech. — A więc przysięgnij, że tak nie było.

— Na co chcesz, żebym przysięgł? — spytał oswobodzony z więzów, bardzo się ożywiając.

— No, choćby na twoje życie — odparł prokurator. — To odpowiednia chwila, żeby na nie przysięgać, bo wisi ono na włosku, pamiętaj o tym.

— Chyba nie sądzisz, że to ty je zawiesiłeś, hegemonie? — spytał aresztant. — Jeżeli tak myślisz, bardzo się mylisz.

Płłat drgnął i odpowiedział przez zęby:

— Mogę przeciąć ten włos.

— I w tym się mylisz — uśmiechając się promiennie i zasłaniając ręką od słońca, sprzeciwił się aresztant. — Zgodzisz się, że przeciąć ten włos z pewnością może tylko ten, kto go zawiesił?

— Tak, tak — uśmiechnąwszy się, powiedział Płłat — teraz nie wątpię w to, że próżnujący gapie w Jeruszałajim deptali ci po piętach.

Nie wiem, kto zawiesił twój język, ale dobrze go zawiesił. Przy okazji: powiedz, czy to prawda, że przybyłeś do Jeruszałajim przez Bramę Suzańską⁶ wierzchem na ośle, otoczony przez gromady motłochu, krzyczącego na twoją cześć, jakby witał jakiegoś proroka? — Tu prokurator wskazał na zwój pergaminu.

Aresztant spojrział ze zdziwieniem na prokuratora.

— Nie mam żadnego osła, hegemonie — powiedział. — Przyszedłem do Jeruszałajim istotnie przez Bramę Suzańską, ale pieszo, w towarzystwie samego Mateusza Lewity i nikt nie nie krzychał, ponieważ nikt mnie wtedy nie znał w Jeruszałajim.

— Czy znasz może tych ludzi — ciągnął Płat, nie spuszczać wzroku z aresztanta — niejakiego Dismasa, drugiego — Gestasa i trzeciego — Bar Rabbana?

— Nie znam tych dobrych ludzi — odpowiedział aresztant.

— Naprawdę?

— Naprawdę.

— A teraz powiedz mi, czemu ciągle używasz słów „dobrzy ludzie”? Czy wszystkich tak nazywasz?

— Wszystkich — odpowiedział więzień. — Na świecie nie ma złych ludzi.

— Pierwszy raz o tym słyszę — powiedział Płat, uśmiechając się — ale być może za mało znam życie!... Dalej możesz nie zapisywać — zwrócił się do sekretarza, chociaż ów i tak niczego nie zapisywał, po czym nadal mówił do aresztanta: — Przeczytałeś o tym w jakiejś greckiej książce?

— Nie, doszedłem do tego własnym rozumem.

— I to właśnie głosisz?

— Tak.

— No, a na przykład centurion Marek, przewany Szczurobójcą — on też jest dobry?

— Tak — odparł aresztant — choć jest nieszczęśliwym człowiekiem. Od tej pory, kiedy dobrzy ludzie go oszpecili, stał się okrutny i nieczuły. Ciekawe byłoby wiedzieć, kto go tak okaleczył.

— Chętnie ci to wyjaśnię — odparł Piłat — albowiem byłem tego świadkiem. Dobrzy ludzie rzucili się na niego jak psy na niedźwiedzia. Germanie wczepili mu się w kark, w ręce, w nogi. Manipuł piechoty wpadł w zasadzkę i gdyby nie przebiła się z flanki turma jazdy — a ja nią dowodziłem — nie miałbyś okazji, filozofie, rozmawiać ze Szczurobójcą. Było to w bitwie pod Idistaviso, w Dolinie Dziewic.

— Jestem przekonany — powiedział naraz marzycielsko aresztant — że gdyby z nim porozmawiać, gruntownie by się zmienił.

— Przypuszczam — odparł Piłat — że niewiele radości sprawiłbyś legatowi legionu, gdyby przyszło ci do głowy rozmawiać z którymś z jego oficerów albo żołnierzy. Zresztą do niczego takiego nie dojdzie i pierwszym, który się o to zatroszczy, będę ja.

Tymczasem pod kolumnadę wleciała nagle jaskółka, zatoczyła krąg pod złotym sklepieniem, zniżyła lot, omal nie zaczęła ostrym skrzydłem o twarz miedzianego posągu w niszy i skryła się za głowicą kolumny. Może przysła jej myśl, żeby uwić tam gniazdo.

W czasie jej lotu w jasnej teraz i lekkiej głowie prokuratora sformułowała się sentencja. Była ona taka: hegemon rozpatrzył sprawę wędrownego filozofa Jeszui, o przydomku Ha Nocri, i nie znalazł w niej znamion przestępstwa. W szczególności nie stwierdził żadnego związku między czynami Jeszui a zamieszkami, jakie niedawno miały miejsce w Jeruszałajim. Okazało się, że wędrowny filozof jest chory psychicznie. W związku z tym wyroku śmierci, wydanego przez Mały Sanhedryn, prokurator nie zatwierdza. Ale ponieważ szalone utopijne mowy Ha Nocri mogą stać się przyczyną zamieszek, prokurator wydała Jeszue z Jeruszałajim i postanawia poddać go uwięzieniu w Cezarei Stratona nad Morzem Śródziemnym, to znaczy właśnie tam, gdzie znajduje się rezydencja prokuratora. Pozostawało tylko podyktować to sekretarzowi.

Skrzydła jaskółki zafurczały tuż nad głową hegemonu, ptak rzucił się ku basenowi fontanny i wyleciał na wolność. Prokurator podniósł oczy na aresztanta i zobaczył, że wzniósł się koło niego pałający słup kurzu.

— Czy to wszystko o nim? — spytał sekretarza Piłat.

— Niestety, nie — niespodziewanie odpowiedział sekretarz i podał Piłatowi drugi kawałek pergaminu.

— Cóż tam jeszcze? — spytał Piłat i nachmurzył się.

Kiedy przeczytał to, co mu podano, jeszcze bardziej zmienił się na twarzy. Czy to ciemna krew napłynęła do jego szyi i twarzy, czy stało się coś innego, ale jego skóra straciła żółtawą barwę, przybrała brunatny odcień, a oczy jakby się zapadły.

Znów winna była zapewne krew, która napłynęła do skroni i pulsowała w nich, w każdym razie coś się stało ze wzrokiem prokuratora. Tak więc przywidziało mu się, że głowa aresztanta odpłynęła gdzieś, a zamiast niej pojawiła się inna. Na tej łysej głowie tkwiła złota korona z rzadkimi zębami. Na czole był okrągły wrzód, wyżerający skórę i posmarowany maścią⁷. Zapadłe, bezzębne usta ze zwisającą, kapryśną dolną wargą. Piłatowi wydało się, że zniknęły różowe kolumny tarasu i dachy Jeruszałajim w oddali, w dole za ogrodem, i wszystko wokół utonęło w gęstej zieleni ogrodów Capri. Z jego słuchem stało się coś dziwnego — jakby w oddali zagrały cicho i groźnie trąby, i bardzo wyraźnie rozległ się nosowy głos, wyniośle przeciągający słowa: „Prawo o obrazie majestatu...”.

Przebiegały myśli krótkie, chaotyczne i niezwykle: „Przepadł!...”, potem: „Przepadliśmy!...”. I wśród nich myśl zupełnie już niedorzeczna, o jakiejś nieśmiertelności, przy czym nieśmiertelność wywoływała nie wiadomo dlaczego nieznośny smutek.

Piłat skupił się, przepędził zjawy, powrócił wzrokiem na taras i znów znalazły się przed nim oczy aresztanta.

— Posłuchaj, Ha Nocri — zaczął mówić prokurator, dziwnie jakoś patrząc na Jezusę: twarz prokuratora była groźna, lecz oczy zaleknione — czy kiedykolwiek mówiłeś coś o wielkim cesarzu? Odpowiadaj! Mówiłeś?... Czy... nie... mówiłeś? — Piłat przeciągnął słowo

„nie” nieco bardziej, niż to jest przyjęte w sądzie, i przesłał Jezui swoim spojrzeniem jakąś myśl, którą jakby chciał zasugerować aresztantowi.

— Mówić prawdę jest łatwo i przyjemnie — zauważył aresztant.

— Nie trzeba mi wiedzieć — stłumionym, gniewnym głosem odezwał się Piłat — czy jest ci przyjemnie, czy nieprzyjemnie mówić prawdę. Będziesz jednak musiał ją powiedzieć. Lecz kiedy mówisz, rozważaj każde słowo, jeżeli nie chcesz nie tylko nieuchronnej, ale i męczeńskiej śmierci.

Nikt nie wie, co się stało prokuratorowi Judei, ale pozwolił on sobie podnieść rękę, jakby zasłaniając się przed słonecznym promieniem, i spoza tej ręki, jak spoza tarczy, posłać aresztantowi znaczące spojrzenie.

— A więc — rzekł — odpowiadaj, czy znasz niejakiego Judę z Kiriatu i co mianowicie mówiłeś mu, jeżeli mówiłeś, o cesarze?

— Było to tak — ochoczo zaczął opowiadać aresztant — przedwczoraj wieczorem poznałem koło świątyni pewnego młodego człowieka, który przedstawił się jako Juda z Kiriatu. Zaprosił mnie do swego domu w Dolnym Mieście i ugościł...

— To dobry człowiek? — spytał Piłat i diabelski ogień błysnął w jego oczach.

— Bardzo dobry i dociekliwy — potwierdził aresztant. — Okazał wielkie zainteresowanie moimi myślami i przyjął mnie bardzo serdecznie...

— Zapalił świeczniki...⁸ — wycedził przez zęby Piłat, wpadając w słowo aresztantowi, a jego oczy błysnęły.

— Tak — ciągnął Jezua, trochę zdziwiony wiedzą prokuratora — prosił mnie, żebym wyłożył mu swoje poglądy na władzę państwową. Ten problem bardzo go zainteresował.

— I cóż mu powiedziałeś? — spytał Piłat. — A może powiesz, że zapomniałeś, o czym mówiłeś? — Ale w głosie Piłata nie było już nadziei.

— Mówiłem między innymi — opowiadał aresztant — że wszelka władza jest gwałtem nad ludźmi i że nastaną czasy, kiedy nie będzie ani władzy cesarskiej, ani żadnej innej. Człowiek wejdzie do królestwa prawdy i sprawiedliwości, gdzie w ogóle niepotrzebna będzie jakakolwiek władza.

— Dalej!

— Dalej nic już nie było — powiedział aresztant — nagle wbiegli ludzie, zaczęli mnie krępować i zaprowadzili do więzienia.

Sekretarz, starając się niczego nie uronić, szybko kreślił słowa na pergaminie.

— Nie było, nie ma i nigdy nie będzie wspanialszej i lepszej dla ludzi władzy niż władza imperatora Tyberiusza! — zdarty i chory głos Piłata stał się donośny.

Prokurator nie wiadomo czemu patrzył z nienawiścią na sekretarza i straż przyboczną.

— I nie tobie, szalony zbrodniarzu, rozprawiać o niej! — Naraz Piłat krzyknął: — Wyprowadzić straż z tarasu! — I zwracając się do sekretarza, dorzucił: — Zostaw mnie z przestępcą sam na sam, to sprawa wagi państwowej.

Straż podniosła włócznie i stukając miarowo podkutymi kaligami⁹, wyszła z tarasu do ogrodu, a za strażą wyszedł także sekretarz.

Milczenie na tarasie przez jakiś czas zakłócała tylko melodia wody w fontannie. Piłat widział, jak wzdymała się nad wypływem miseczka wody, jak odłamywały się jej brzegi, jak opadały strużkami.

Pierwszy odezwał się aresztant:

— Widzę, że stało się coś złego przez to, że rozmawiałem z tym młodzieńcem z Kiriatu. Mam przeczucie, hegemonie, że spotka go jakieś nieszczęście, i bardzo mi go żal.

— Zdaje mi się — odparł prokurator, uśmiechając się dziwnie — że jest jeszcze ktoś na świecie, kogo powinienes żałować bardziej niż Judę z Kiriatu i kogo spotka coś o wiele gorszego niż Judę!... A więc

Marek Szczurobójca, zimny i bezwzględny oprawca, ludzie, którzy, jak widzę — prokurator wskazał na oszpeconą twarz Jezui — bili cię za twoje nauki, rozbójnicy Dismas i Gestas, którzy ze swoimi współnikami zabili czterech żołnierzy i wreszcie brudny zdrajca Juda — wszyscy oni są dobrymi ludźmi?

— Tak — odpowiedział aresztant.

— I nastanie królestwo prawdy?

— Nastanie, hegemonie — odparł z przekonaniem Jezua.

— Ono nigdy nie nastanie! — krzyknął nagle Piłat tak strasznym głosem, że Jezua się cofnął. Tak samo, wiele lat temu w Dolinie Dziewów, Piłat krzyczał do swoich konnych: „Rąb ich! Rąb ich! Olbrzym Szczurobójca w pułapce!”. Jeszcze bardziej podniósł zdarty od komend głos, skandując słowa tak, żeby słychać je było w ogrodzie: — Zbrodniarzu! Zbrodniarzu! Zbrodniarzu!

A potem, ścisząc głos, spytał:

— Jezuo Ha Nocri, czy wierzysz w jakichś bogów?

— Bóg jest jeden — odparł Jezua — i w niego wierzę.

— A więc pomódl się do niego! Usilnie się pomódl! Zresztą... — tu głos Piłata zgasł — to nie pomoże. Nie masz żony? — nie wiadomo czemu żałośnie spytał Piłat, nie rozumiejąc, co się z nim dzieje.

— Nie, jestem sam.

— Przekłęte miasto... — mruknął nagle nie wiedząc czemu prokurator i wstrząsnął ramionami, jakby ogarnął go chłód, a ręce zatarł, jakby je obmywał — byłoby doprawdy lepiej, gdyby ktoś cię zamordował, zanim spotkałeś Judę z Kiriatu.

— Może byś mnie wypuścił, hegemonie — nieoczekiwanie poprosił aresztant i jego głos stał się zalękniony — widzę, że chcą mnie zabić.

Twarcz Piłata zeszpecił skurcz, zwrócił ku Jezui rozgorączkowane, pokryte czerwonymi żyłkami białka oczu i powiedział:

— Czy sądzisz, nieszczęśniku, że rzymski prokurator wypuści kogoś, kto powiedział to, co ty mówiłeś? O, bogowie, bogowie! A może myślisz, że jestem gotów zająć twoje miejsce? Nie podzielam twoich myśli!

I posłuchaj mnie: jeżeli od tej chwili wypowiesz choć jedno słowo, odezwiiesz się do kogokolwiek, strzeż się mnie! Powtarzam: strzeż się!

— Hegemonie...

— Milczeć! — krzyknął Piłat i wściekłym wzrokiem odprowadził jakkolwiek, która znów przyfrunęła na taras. — Do mnie! — zawołał.

Kiedy sekretarz ze strażą wrócili na swoje miejsca, Piłat oznajmił, że zatwierdza wyrok śmierci na zbrodniarza Jezusę Ha Nocri, wydany na zgromadzeniu Małego Sanhedrynu, a sekretarz zapisał to, co powiedział.

Po chwili przed prokuratorem stał Marek Szczurobójca. Prokurator kazał mu oddać przestępcę komendantowi tajnej służby i przekazać zarazem polecenie, żeby Jezusę Ha Nocri odseparowano od innych skazanych, a także by oddziałowi tajnej służby zakazano pod groźbą surowej kary rozmawiać z Jezusą lub odpowiadać na jakiekolwiek jego pytania.

Na znak Marka zamknął się wokół Jezui pierścień straży i wyprowadzono go z tarasu.

Potem przed prokuratorem stanął urodziwy mężczyzna z jasną brodą i orlimi piórami na grzebieniu hełmu, z błyszczącymi na piersiach złotymi lwimi paszczami, z również złotymi okuciami na pochwie miecza, w zasnurowanych do kolan butach na potrójnej podeszwie i w narzuconym na lewe ramię szkarłatnym płaszczu. Był to legat dowodzący legionem.

Prokurator spytał go o to, gdzie obecnie znajduje się kohorta sebastijska. Legat oświadczył, że sebastyjczycy utrzymują kordon na placu przed hipodromem, gdzie zostanie ogłoszony ludowi wyrok na przestępców.

Wtedy prokurator zarządził, żeby legat wydzielił z rzymskiej kohorty dwie centurie. Jedna z nich, pod dowództwem Szczurobójcy, będzie miała zadanie konwojować przestępców, furgony z narzędziami niezbędnymi do egzekucji oraz katów w drodze na Łysą Górę, a po przybyciu na nią, uzupełnić górny łańcuch straży. Druga natomiast ma zostać natychmiast wysłana na Łysą Górę, gdzie niezwłocznie zacznie tworzyć kordon. Prokurator poprosił również legata, by do tego celu, to znaczy do ochrony Łysej Góry, wysłał wspierający pułk kawalerii — syryjską alę.

Kiedy legat opuścił taras, prokurator kazał sekretarzowi zaprosić do pałacu przewodniczącego Sanhedrynu, dwóch jego członków i dowódcę straży świątynnej Jeruszałajim, ale dodał przy tym, że prosi, by tak to zorganizowano, ażeby przed naradą z tymi wszystkimi ludźmi mógł wcześniej porozmawiać z przewodniczącym sam na sam.

Polecenie prokuratora zostało wykonane szybko i ściśle, i słońce, które z jakąś niezwykłą wściekłością paliło w tych dniach Jeruszałajim, nie zdążyło jeszcze zbliżyć się do zenitu, kiedy na górnym tarasie ogrodu koło dwóch białych marmurowych lwów, strzegących schodów, spotkali się: prokurator i pełniący obowiązki przewodniczącego Sanhedrynu żydowski arcykapłan Józef Kajfasz.

W ogrodzie było cicho. Ale gdy prokurator wyszedł spod kolumnady na zalany słońcem górny taras ogrodu z palmami na dziwacznych słoniowych nogach, taras, z którego roztoczył się przed nim widok znienawidzonego Jeruszałajim z wiszącymi mostami, murami obronnymi i przede wszystkim z niepoddającą się żadnemu opisowi bryłą marmuru ze złotą smoczą łuską zamiast dachu — świątynią jeruszałajimską — jego ostry słuch uchwycił gdzieś daleko w dole, tam, gdzie kamienny mur oddzielał dolne tarasy ogrodu pałacowego od miejskiego placu, basowy warkot, ponad który wzbijały się chwilami słabiutkie, wysokie jakby jęki czy okrzyki.

Prokurator pojął, że tam, na placu, już się zgromadził nieprzeliczony tłum wzburzonych ostatnimi zamieszkami mieszkańców Jerusalamim, że ten tłum czeka z niecierpliwością na wydanie wyroku i że krzyczą w nim zaaferowani sprzedawcy wody.

Prokurator zaczął od tego, że zaprosił arcykapłana pod przykrycie tarasu, aby schronić się przed bezlitosnym skwarem, ale Kajfasz grzecznie przeprosił i wyjaśnił, że nie może tego zrobić w wigilię święta. Piłat narzucił kaptur na swoją lekko łysiejącą głowę i rozpoczął rozmowę. Rozmowa toczyła się po grecku.

Piłat powiedział, że rozpatrzył sprawę Jeszui Ha Nocri i zatwierdził wyrok śmierci.

Tak więc na karę śmierci, która ma zostać wykonana dzisiaj, skazani zostali trzej złoczyńcy: Dismos, Gestas, Bar Rabban, a poza nimi jeszcze ten Jezua Ha Nocri. Pierwsi dwaj, którzy usiłowali podburzać lud do buntu przeciw cesarowi, zostali pojmani w walce przez władze rzymskie, należą do prokuratora i siłą rzeczy nie będzie tu o nich mowy. Dwaj ostatni zaś, Bar Rabban i Ha Nocri, zostali ujęci przez miejscowe władze i osądzeni przez Sanhedryn. Zgodnie z prawem, zgodnie z obyczajem, jednego z tych dwóch przestępców trzeba będzie wypuścić na wolność dla uczczenia wypadającego nazajutrz wielkiego święta Paschy.

A zatem prokurator chciałby wiedzieć, którego z tych dwóch przestępców zamierza uwolnić Sanhedryn: Bar Rabbana czy Ha Nocri?

Kajfasz skłonił głowę na znak, że pytanie jest dla niego jasne, i odpowiedział:

— Sanhedryn prosi o uwolnienie Bar Rabbana.

Prokurator dobrze wiedział, że arcykapłan tak właśnie mu odpowie, ale teraz chciał wywołać wrażenie, iż ta odpowiedź wzbudziła w nim zdumienie.

Piłat uczynił to bardzo umiejętnie. Brwi na wyniosłej twarzy uniosły się i prokurator ze zdziwieniem spoglądał arcykapłanowi prosto w oczy.

— Przyznam, że ta odpowiedź mnie zdumiewa — odezwał się łagodnie prokurator. — Obawiam się, że zaszło jakieś nieporozumienie.

Piłat wyjaśnił. Rzymska władza ani trochę nie ogranicza praw miejscowej władzy duchownej i arcykapłanowi jest to doskonale wiadome, ale w danym przypadku najwidoczniej nastąpiła omyłka. I rzymska władza jest oczywiście zainteresowana w naprawieniu tej omyłki.

W rzeczy samej: ciężar przestępstw Bar Rabbana i Ha Nocri jest absolutnie nieporównywalny. O ile ten drugi, człowiek niewątpliwie obłąkany, winien jest wygłaszania niedorzecznych przemówień, sięgających niepokoje wśród ludności Jeruszałajim i niektórych innych miejscowości, to pierwszego obciąża o wiele więcej. Nie tylko pozwalał sobie na otwarte wezwania do buntu, ale poza tym przy próbie pojmania go zabił strażnika. Bar Rabban jest o wiele niebezpieczniejszy niż Ha Nocri.

Na podstawie tego wszystkiego, co zostało powiedziane, prokurator prosi arcykapłana o zrewidowanie postanowienia i pozostawienie na wolności tego z dwóch skazanych, który jest mniej szkodliwy, a takim jest bez wątpienia Ha Nocri. A więc?...

Kajfasz powiedział cichym, ale mocnym głosem, że Sanhedryn wnikliwie zapoznał się ze sprawą i powtórnie oświadcza, iż zamierza uwolnić Bar Rabbana.

— Co? Nawet po moim wstawiennictwie? Po wstawiennictwie tego, przez którego usta przemawia rzymska władza? Arcykapłanie, powtórz to po raz trzeci.

— I po raz trzeci oświadczam, że uwalniamy Bar Rabbana — odparł cicho Kajfasz.

Wszystko było skończone i nie było już o czym mówić. Ha Nocri odchodził na zawsze i nie będzie miał kto uleczyć strasznych, dojmujących bólów prokuratora; nie ma na nie sposobu, oprócz śmierci. Ale nie ta myśl zatrwożyła teraz Pilata. Wciąż ten sam niepojęty smutek, który

ogarniał go już na tarasie, przeniknął go teraz do głębi. Natychmiast spróbował go sobie wyjaśnić i wyjaśnienie to było dziwne: prokurator odnosił niejasne wrażenie, że w rozmowie ze skazanym czegoś nie powiedział, a może i czegoś nie dosłuchał.

Piłat odpędził tę myśl i odleciała ona momentalnie, tak jak przyleciała. Odleciała, ale smutek pozostał niewyjaśniony, albowiem nie mogła go wyjaśnić jakaś inna krótka myśl, która mignęła jak błyskawica i natychmiast zgasła: „Nieśmiertelność... nadeszła nieśmiertelność...”. Czyja nieśmiertelność nadeszła? Tego prokurator nie wiedział, ale myśl o tej zagadkowej nieśmiertelności sprawiła, że wśród słonecznego skwaru ogarnął go chłód.

— Dobrze — powiedział Piłat — niech tak będzie.

Tu się rozejrzał, obrzucił wzrokiem świat, który miał przed sobą, i zdumiał się zmianą, jaka w nim zaszła. Zniknął ciężki od róż krzew, zniknęły cyprysy otaczające górny taras, i drzewo granatu, i biały posąg wśród zieleni, a także sama zieleń. Zamiast tego wszystkiego płynął jakiś szkarłatny gąszcz, zakołysały się w nim wodorosty i ruszyły gdzieś przed siebie, a razem z nimi ruszył przed siebie sam Piłat. Teraz unosił go, dusząc i paląc, najstraszniejszy gniew — gniew bezsilności.

— Dusi mnie — wyrzekł Piłat — dusi!

Chłodną, wilgotną ręką szarpnął zapinkę na kołnierzu płaszcza i zapinka upadła na piasek.

— Duszno dzisiaj, nadciąga skądś burza — odezwał się Kajfasz, nie spuszczać oczu z poczerwieniałej twarzy prokuratora i przewidując wszystkie męki, jakie jeszcze nadejdą. „O, jaki straszny jest w tym roku miesiąc nissan!”.

— Nie — powiedział Piłat — to nie dlatego, że jest duszno, ale ty mi odbierasz powietrze, Kajfaszu. — I zmrużywszy oczy, Piłat uśmiechnął się i dodał: — Strzeż się, arcykapłanie.

Ciemne oczy arcykapłana błysnęły i nie gorzej, niż przedtem prokurator, wyraził na swojej twarzy zdziwienie.

— Co ja słyszę, prokuratorze? — dumnie i spokojnie odpowiedział Kajfasz. — Grozisz mi po wydanym wyroku, który sam zatwierdziłeś? Czy to możliwe? Przywykliśmy do tego, że rzymski prokurator dobiera właściwe słowa, zanim cokolwiek powie. Czy aby ktoś nas nie usłyszy, hegemonie?

Piłat spojrział martwymi oczami na arcykapłana i w grymasie uśmiechu wyszczerzył zęby.

— Ależ skąd, arcykapłanie! Kto tutaj i teraz może nas usłyszeć? Czy jestem podobny do młodego nawiedzonego włóczęgi, który dziś zostanie stracony? Czy jestem dzieckiem, Kajfaszu? Wiem, co mówię i gdzie mówię. Ogród jest otoczony, pałac jest otoczony tak, że mysz się nie prześlizgnie przez żadną szczelinę! Ale nie tylko mysz — nie prześlizgnie się nawet ten, jak mu tam... z miasta Kiriatu. Nawiasem mówiąc, czy znasz kogoś takiego, arcykapłanie? Tak... gdyby ktoś taki przedostał się tutaj, gorzko by tego żałował, nie wątpisz w to, oczywiście, arcykapłanie? A zatem wiedz, arcykapłanie, że nie zaznasz od dzisiaj spokoju! Ani ty, ani twój lud — i Piłat wskazał w dal, na prawo, tam, gdzie na wzgórzu lśniła świątynia — ja ci to mówię — Piłat z Pontu, jeździec Złotej Włóczni!

— Wiem, wiem! — nieustraszenie odparł czarnobrody Kajfasz i jego oczy błysnęły. Uniósł ręce ku niebu i ciągnął: — Wie lud Judei, że nienawidzisz go okrutną nienawiścią i wiele cierpień mu zadasz, ale całkiem go nie zgubisz! Obroni go Bóg! Usłyszysz nas, usłyszysz wszechmocny cesarz i obroni przed dręczycielem Piłatem!

— O, nie! — zawołał Piłat i z każdym słowem czuł coraz większą ulgę: nie musiał już udawać, nie musiał dobierać słów. — Zbyt często skarżyłeś się na mnie cesarzowi, ale teraz nadszedł mój czas, Kajfaszu! Teraz poleci wieść ode mnie, i nie do namiestnika w Antiochii, i nie do Rzymu, ale wprost na Kapreje, do samego imperatora, wieść o tym, jak tutaj w Jeruzalajim chronicie przed śmiercią jawnych buntowników. I nie wodą ze stawów Salomona, jak chciałem dla waszego pożytku, napoję

teraz Jeruszałajim! O nie, nie wodą! Przypomnij sobie, jak musiałem przez was zdejmować tarcze z cyframi imperatora z murów, przekwaterowywać wojska¹⁰, musiałem nawet sam przyjechać, zobaczyć, co się tu u was wyprawia! Wspomnij moje słowa: ujrzyś tutaj, arcykapłanie, nie jedną kohortę w Jeruszałajim, o nie! Cały legion Fulminata przyjdzie pod mury miasta, przyciągnie arabska konnica, a wtedy usłyszysz gorzki płacz i jęki! Wspomnisz wtedy ocalonego Bar Rabbana i pożałujesz, żeś wysłał na śmierć filozofa z jego nauką o pokoju!

Twarz arcykapłana pokryła się plamami, oczy mu płonęły. Podobnie jak prokurator, uśmiechnął się, szczerząc zęby, i odparł:

— Czy ty, prokuratorze, sam wierzysz w to, co mówisz? Nie, nie wierzysz! Nie pokój, nie pokój przyniósł nam ten zwodziciel ludu do Jeruszałajim, a ty, ekwito, wiesz o tym bardzo dobrze. Po to chciałeś go wypuścić, żeby podburzył lud, pohańbił wiarę i zaprowadził lud pod rzymskie miecze! Ale ja, arcykapłan żydowski, dopóki żyję, nie wydám wiary na pohańbienie i obronę lud! Słyszysz, Piłacie? — W tym miejscu Kajfasz groźnie podniósł rękę: — Posłuchaj, prokuratorze!

Kajfasz zamilkł i prokurator znów usłyszał jakby szum morza, toczącego fale aż pod same mury ogrodu Heroda Wielkiego. Ten szum podnosił się z dołu do stóp i twarzy prokuratora. A za jego plecami, tam, za skrzydłami pałacu, słychać było trwożne sygnały trąb, ciężki chrzęst setek nóg, brzęk żelaza — i prokurator pojął, że rzymska piechota już wychodzi, zgodnie z rozkazem, udając się na straszną dla buntowników i bandytów przedśmiertną paradę.

— Słyszysz, prokuratorze? — powtórzył cicho arcykapłan. — Czy powiesz mi, że to wszystko — tu arcykapłan podniósł obie ręce i ciemny kaptur zsunął się z jego głowy — wywołał żalosny bandyta Bar Rabbana?

Prokurator wierzchem dłoni otarł mokre, chłodne czoło, popatrzył na ziemię, potem, mrużąc oczy, na niebo, zobaczył, że rozpalona kula stoi prawie nad samą jego głową, a cień Kajfasza zupełnie się skurczył koło lwiego ogona, i powiedział cicho i obojętnie:

— Nadchodzi południe. Zajął nas rozmowa, a tymczasem trzeba działać dalej.

Sumitując się przed arcykapłanem w najbardziej wyszukanych słowach, poprosił go, by zechciał usiąść na ławce w cieniu magnolii i zaczekać, aż prokurator wezwie pozostałe niezbędne osoby na ostatnią krótką naradę i wyda jeszcze jedno polecenie związane z egzekucją.

Kajfasz grzecznie się skłonił, przykładając rękę do serca, i pozostał w ogrodzie, a Piłat wrócił na taras. Tam kazał czekającemu na niego sekretarzowi poprosić do ogrodu legata legionu, trybuna kohorty, a także dwóch członków Sanhedrynu i dowódcę straży świątynnej, oczekujących na wezwanie w okrągłej altance z fontanną. Piłat dorzucił jeszcze, że zaraz wyjdzie sam do ogrodu, i oddalił się w głąb pałacu.

Kiedy sekretarz przygotowywał naradę, prokurator spotkał się w pokoju zasłoniętym przed słońcem ciemnymi kotarami z jakimś człowiekiem, którego twarz przykryta była do połowy kapturem, chociaż promienie słoneczne nie mogły mu w tym pokoju przeszkadzać. Spotkanie to było nadzwyczaj krótkie. Prokurator cicho powiedział człowiekowi kilka słów, po czym ów oddalił się, a Piłat wyszedł do ogrodu przez kolumnadę.

Tam w obecności wszystkich, których życzył sobie widzieć, prokurator uroczyście i oschle potwierdził, że zatwierdza wyrok śmierci na Jezusie Ha Nocri, i oficjalnie spytał członków Sanhedrynu, któremu z przestępców chcą darować życie. Otrzymaawszy odpowiedź, że jest nim Bar Rabban, prokurator powiedział:

— Bardzo dobrze — i kazał sekretarzowi natychmiast umieścić to w protokole, ścisnął w rękę zapinkę, podniesioną z piasku przez sekretarza, i uroczyście powiedział: — Już czas!

Wtedy wszyscy obecni ruszyli na dół po szerokich marmurowych schodach pomiędzy ścianami róż, roztaczających odurzający aromat, schodząc wciąż niżej i niżej ku murom pałacu, ku bramie, wychodzą-

cej na wielki, gładko wybrukowany plac, na końcu którego widać było kolumny i posągi jerozolimskiego hipodromu.

Kiedy tylko grupa wyszła z ogrodu na plac i znalazła się na rozległym, górującym nad placem kamiennym pomoście, Piłat, rozglądając się spod przymrużonych powiek, zorientował się w sytuacji. Ta przestrzeń, którą przed chwilą przebył, to znaczy przestrzeń dzieląca pałacowy mur od pomostu, była pusta, ale za to przed sobą Piłat nie widział już placu — pochłonął go tłum. Zalałby on i sam pomost, i tę oczyszczoną przestrzeń, gdyby potrójny szereg sebastyjskich żołnierzy po lewej ręce Piłata i żołnierzy ituryjskiej kohorty pomocniczej po prawej nie powstrzymywał go.

Tak więc Piłat wszedł na pomost, machinalnie ściskając w pięści niepotrzebną zapinkę i mrużąc oczy. Prokurator mrużył je nie dlatego, że słońce raziło go w oczy, o nie! Z jakiegoś powodu nie chciał widzieć grupy skazanych, których, jak doskonale wiedział, tuż za nim wprowadzą na pomost.

Kiedy tylko biały płaszcz ze szkarłatnym podbiciem pojawił się na kamiennym bloku nad skrajem ludzkiego morza, niewidzącego Piłata uderzyła w uszy fala dźwięków: „Ha-a-a...”. Początkowo cicha, zrodziła się gdzieś w oddali koło hipodromu, potem spotężniała jak grom, trwała przez kilka sekund i zaczęła opadać. „Zobaczyli mnie” — pomyślał prokurator. Fala nie opadła do najniższego punktu i naraz zaczęła znów rosnąć i kołysząc się, podniosła się wyżej niż pierwsza, i na tej drugiej fali tak, jak na morskim bałwanie burzy się piana, wytrysnął gwizd i pojedyncze, wyróżniające się wśród gromu, kobiece jęki. „Teraz wprowadzono ich na pomost...” — pomyślał Piłat — „a jęki wzięły się stąd, że stratowano kilka kobiet, kiedy tłum ruszył do przodu”.

Odczekał jakiś czas, wiedząc, że żadna siła nie zmusi tłumu do milczenia, dopóki nie wykrzyczy wszystkiego, co się w nim nagromadziło, i sam nie zamilknie.

A kiedy ta chwila nadeszła, prokurator uniósł w górę prawą rękę i z tłumu jakby zdmuchnęło ostatni szmer.

Wtedy Piłat nabrał w piersi tyle gorącego powietrza, ile tylko mógł, i jego zdarty głos poniósł się ponad tysiącami głów:

— W imieniu cezara imperatora!...

Wtedy w jego uszy uderzył żelazny skandowany okrzyk — w kohortach strasznie krzyknęli żołnierze, wyrzucając w górę włócznie i emblematy:

— Niech żyje cesarz!!!

Piłat zadarł głowę, kierując ją prosto w słońce. Pod jego powiekami wybuchnął zielony płomień, od niego zapalił się mózg, a nad tłumem poniosły się ochryple aramejskie słowa:

— Czterech przestępców, aresztowanych w Jeruzalajim za morderstwa, podżeganie do buntu i obrazę prawa i wiary, skazano na haniebną śmierć — powieszenie na słupach! Egzekucja zostanie zaraz wykonana na Łysej Górze! Imiona przestępców — Dismos, Gestas, Bar Rabban i Ha Nocri. Oto macie ich przed sobą!

Piłat wskazał ręką na prawo, nie widząc żadnych przestępców, ale wiedząc, że są tam, gdzie powinni być.

Tłum odpowiedział przeciągłym pomrukiem jakby zdziwienia czy ulgi. Kiedy zaś pomruk ucichł, Piłat ciągnął:

— Ale spośród nich tylko trzech zostanie straconych, albowiem zgodnie z prawem i obyczajem, dla uczczenia święta Paschy jednemu ze skazanych, wedle wyboru Małego Sanhedrynu i za przyzwoleniem władz rzymskich, wielkoduszny cesarz imperator daruje jego godne pogardy życie!

Piłat wykrzykiwał słowa i równocześnie słyszał, jak pomruk zastępuje wielka cisza. Teraz do jego uszu nie dobiegało ani westchnienie, ani szmer, i nawet była chwila, kiedy Piłatowi wydało się, że wszystko dookoła w ogóle zniknęło. Znienawidzone przez niego miasto umarło i tylko on sam stoi pod padającymi pionowo palącymi promieniami, z twarzą utkwioną w niebo. Piłat przeciągnął jeszcze ciszę, a potem zaczął wykrzykiwać:

— Imię tego, kto zaraz w waszej obecności zostanie uwolniony...

Zrobił jeszcze jedną pauzę, nie wypowiadając imienia i przypominając sobie, czy wszystko powiedział, ponieważ wiedział, iż martwe miasto zmartwychwstanie, kiedy zabrzmie imię szczęśliwca i żadnych słów nie będzie można już usłyszeć.

„Wszystko?” — bezgłośnie szepnął do siebie Piłat. — „Wszystko. Imię!”.

I tocząc głoskę „r” nad milczącym miastem, zawołał:

— Bar Rabban!

Wtedy wydało mu się, że słońce zadzwięczało i pękło nad nim, zalewając mu uszy ogniem. W tym ogniu kłębiły się wycia, skowyty, jęki, śmiech i gwizd.

Piłat odwrócił się i poszedł przez pomost z powrotem ku schodom, na nic nie patrząc, oprócz różnokolorowej szachownicy nawierzchni pod nogami, żeby się nie potknąć. Wiedział, że teraz za jego plecami leci na pomost grad brązowych monet i fig, że w wyjąłym tłumie ludzie, tratując się nawzajem, wspinają się innym na ramiona, żeby na własne oczy zobaczyć cud — jak człowiek, który był już w rękach śmierci, wyrwał się z tych rąk! Jak legionieści zdejmują z niego powrozy, mimo woli sprawiając mu dotkliwy ból w wykręconych na przesłuchaniu rękach, jak jęcząc i marszcząc się, uśmiecha się bezmyślnym, obłąkańczym uśmiechem.

Wiedział, że w tym samym czasie straż prowadzi już do bocznych schodów tamtych trzech ze związanymi rękami, żeby wyprowadzić ich na drogę wiodącą na zachód, za miasto, ku Łysej Górze. Dopiero gdy znalazł się z tyłu za pomostem, Piłat otworzył oczy, wiedząc, że jest teraz bezpieczny — nie mógł już zobaczyć skazanych.

Do wycia zaczynającego cichnąć tłumy wmieszały się i stały się rozpoznawalne przenikliwe okrzyki heroldów, powtarzających, jeden po aramejsku, drugi po grecku, to wszystko, co wykrzyczał z pomostu prokurator. Poza tym do jego uszu dobiegł drobny, terkoczący i coraz bliższy tętent końskich kopyt, a trąbka pokrzykiwała coś urywa-

nie i wesoło. Dźwiękom tym odpowiedział przenikliwy świst chłopców z dachów domów przy ulicy prowadzącej z bazaru do hipodromu i okrzyki: „uważać!”.

Żołnierz, stojący samotnie z proporcem w ręku na oczyszczonej przestrzeni placu, machnął nim niespokojnie i wtedy prokurator, legat legionu, sekretarz i straż zatrzymali się.

Kawaleryjska ala, rozciągając się coraz szerzej w klusie, wypadła na plac, aby go przeciąć na ukos, mijając skupiska ludzi, i zaułkiem pod kamiennym murem, po którym pięła się winorośl, najkrótszą drogą popędzić ku Łysej Górze.

Mknący klusem, mały jak chłopiec i ciemny jak Mulat dowódca ali — Syryjczyk, zrównał się z Piłatem, krzyknął coś wysokim głosem i wyszarpnął z pochwy miecz. Jego dziki i spieniony kary koń szarpnął się, stając dęba. Wepchnąwszy miecz do pochwy, dowódca smagnął konia pejczem po karku, poskromił go i popędził galopem w zaułek. Za nim trójkami w szeregu pognali w chmurze pyłu jeźdźcy, podskoczyły groty lekkich bambusowych pik, koło prokuratora przemknęły twarze z wesoło wyszczerzonymi, błyszczącymi zębami, wyglądające na szczególnie smagłe pod białymi zawojami.

Ala wpadła w zaułek, wzbijając pod niebo kurz, i koło Piłata przemknął ostatni żołnierz z połyskującą w słońcu trąbą na plecach.

Zasłaniając się ręką przed kurzem i krzywiąc się mimo woli, Piłat ruszył dalej, zmierzając ku bramie pałacowego ogrodu, a za nim ruszył legat, sekretarz i straż.

Było około dziesiątej rano.

ROZDZIAŁ 3

Siódmy dowód

— Tak, było około dziesiątej rano, czcigodny Iwanie Nikołajewiczu — powiedział profesor.

Poeta przeciągnął ręką po twarzy, jak człowiek, który dopiero co się ocknął, i zobaczył, że na Patriarszych jest już wieczór.

Woda w stawie poczerniała i lekka łódeczka już ślizgała się po niej, i słyhać było plusk wiosła i chichoty jakiejś obywatelki w łódce. W alejkach pojawili się na ławkach ludzie, ale znów tylko na pozostałych trzech bokach kwadratu, z wyjątkiem tego, gdzie byli nasi dyskutanci.

Niebo nad Moskwą jakby wypłowiało, a w górze wyraźnie widoczny był księżyc w pełni, ale jeszcze nie złoty, tylko biały. Oddychać można było już o wiele łatwiej i głosy pod lipami dźwięczały teraz ciszej, po wieczornemu.

„Jakim sposobem nawet nie zauważyłem, kiedy on zdążył zmyślić całą opowieść?...” — pomyślał w osłupieniu Bezdomny. — „Przecież to już wieczór! A może on wcale tego nie opowiadał, tylko po prostu zasnąłem i wszystko to mi się przyśniło?” .

Należy jednak sądzić, że opowiadał to profesor, inaczej trzeba byłoby założyć, że to samo przyśniło się także Berliozowi, ponieważ powiedział on, uważnie wpatrując się w twarz cudzoziemca:

— Pańskie opowiadanie jest nadzwyczaj interesujące, profesorze, chociaż zupełnie nie zgadza się z tekstem Ewangelii¹¹.

— Niechże się pan zlituje — uśmiechając się z pobłażaniem, odparł profesor — ale kto jak kto, lecz pan powinien wiedzieć, że absolutnie nic z tego, co jest opisane w Ewangeliach, w rzeczywistości nigdy się nie zdarzyło i jeżeli zaczniemy powoływać się na Ewangelię jako źródło historyczne... — Uśmiechnął się jeszcze raz, a Berlioza zatkało, ponieważ dosłownie to samo mówił Bezdonnemu, idąc z nim Bronną na Patriarsze Stawy.

— To prawda — odpowiedział Berlioz — ale obawiam się, że nikt nie może potwierdzić, iż także to, co pan nam opowiedział, zdarzyło się w rzeczywistości.

— O, nie! Ktoś może to potwierdzić! — zaczynając mówić łamanym językiem, odparł z niezwykłą pewnością profesor i niespodziewanie przywołał tajemniczym gestem obu przyjaciół bliżej ku sobie.

Kiedy pochylili się ku niemu z obu stron, powiedział, ale już bez żadnego obcego akcentu, który diabli wiedzą czemu to się u niego pojawiał, to zniknął:

— Rzecz w tym... — tu profesor rozejrzał się lekliwie i zaczął mówić szeptem — że ja sam osobiście byłem przy tym wszystkim obecny. I na tarasie u Piłata byłem, i w ogrodzie, kiedy rozmawiał z Kajfaszem, i na pomoście, ale potajemnie, incognito, że tak powiem, więc proszę was — nikomu ani słowa i całkowity sekret!... Tsss!

Nastąpiło milczenie i Berlioz zbłądł.

— Pan... od kiedy jest pan w Moskwie? — spytał drżącym głosem.

— Dopiero co, przed chwilą przyjechałem do Moskwy — z zakłopotaniem odparł profesor i dopiero wtedy przyjaciołom przyszło na myśl, żeby zająrzeć mu jak należy w oczy, i przekonali się, że lewe, zielone, jest całkiem obłąkane, a prawe — puste, czarne i martwe.

„Masz tobie, wszystko się wyjaśniło!” — pomyślał zdetonowany Berlioz. — „Albo Niemiec przyjechał obłąkany, albo dopiero co zbziłkował na Patriarszych. A to historia!”.

Tak, w rzeczy samej, wszystko się wyjaśniło: i przedziwne śniadanie u nieboszczyka filozofa Kanta, i idiotyczne uwagi o oleju słonecznikowym i Annuszcze, i przepowiednie o odrąbanej głowie, i cała reszta — profesor był obłąkany.

Berlioz natychmiast się zorientował, co należy zrobić. Odchylając się na oparcie ławki, za plecami profesora mrugnął do Bezdomnego — że niby, nie sprzeczasz się z nim — ale zdezorientowany poeta nie zrozumiał tych sygnałów.

— Tak, tak, tak — mówił ze wzburzeniem Berlioz — zresztą, wszystko to jest możliwe!... Nawet bardzo możliwe, i Poncjusz Piłat, i taras, i temu podobne... A pan sam przyjechał czy z małżonką?

— Sam, sam, ja zawsze jestem sam — odparł gorzko profesor.

— A gdzie są pańskie bagaże, profesorze? — przymilnie dopytywał się Berlioz. — W „Metropolu”? Gdzie pan się zatrzymał?

— Ja? Nigdzie — odpowiedział niespełna rozumu Niemiec, żałośnie i dziko błędząc zielonym okiem po Patriarszych Stawach.

— Jak to? A więc... gdzie pan będzie mieszkać?

— W pańskim mieszkaniu — odparł nagle nonszalancko obłąkany i mrugnął.

— Ja... bardzo mi miło — wymamrotał Berlioz — ale doprawdy, u mnie będzie panu niewygodnie... A w „Metropolu” są wspaniałe pokoje, to pierwszorzędny hotel...

— A diabła też nie ma? — poinformował się nagle wesoło chory, zwracając się do Iwana Nikołajewicza.

— Diabła też...

— Nie sprzeczasz się! — bezgłośnie szepnął Berlioz, odchylając się za plecy profesora i robiąc miny.

— Nie ma żadnego diabła! — oszołomiony tymi wszystkimi bredniami Iwan Nikołajewicz krzyknął nie to, co powinien. — Co za skaranie boskie! Przestańcie wariować!

Na to obłąkany tak się roześmiał, że z lipy nad głowami siedzących wyfrunął wróbel.

— No, to już jest naprawdę interesujące — trzęsąc się ze śmiechu, odezwał się profesor — co tu się u was dzieje, czego nie tkniesz, tego nie ma! — Raptownie przestał się śmiać i, co jest zupełnie zrozumiałe przy chorobie umysłowej, z rozbawienia wpadł w drugą skrajność — rozzłościł się i krzyknął surowo: — A więc to znaczy, że go jednak nie ma, czy tak?

— Niech pan się uspokoi, niech pan się uspokoi, profesorze — mamrotał Berlioz, bojąc się zdenerwować chorego — niech pan tu chwileczkę posiedzi z towarzyszem Bezdomnym, a ja tylko skoczę na róg zadzwonić, a potem odprowadzimy pana, gdzie tylko pan zechce. Przecież nie zna pan miasta...

Plan Berlioza należy uznać za słuszny: trzeba było dobiec do najbliższego automatu telefonicznego i zawiadomić biuro do spraw cudzoziemców, że oto mianowicie przybyły zza granicy konsultant siedzi na Patriarszych Stawach w stanie zdecydowanie nienormalnym. Trzeba więc podjąć odpowiednie kroki, bo sytuacja staje się nieprzyjemnie głupia.

— Zadzwonić? No cóż, niech pan dzwoni — z żalem zgodził się chory i nagle poprosił żarliwie: — Ale na pożegnanie błagam pana, niech pan uwierzy chociaż w to, że diabeł istnieje! O nic więcej już pana nie proszę. Niech pan weźmie pod uwagę, że na potwierdzenie tego istnieje siódmy dowód, i to niezbity! I zaraz zostanie on panu przedstawiony.

— Dobrze, dobrze — odparł z fałszywą serdecznością Berlioz i mrugnąwszy do zdeorientowanego poety, któremu wcale się nie uśmiechała myśl pilnowania obłąkanego Niemca, pośpieszył do wyjścia z Patriarszych, znajdującego się na rogu Bronnej i zaułka Jermołajewskiego.

A profesor natychmiast jakby wyzdrowiał i rozpromienił się.

— Michale Aleksandrowiczu! — krzyknął w ślad za Berliozem.

Berlioz drgnął, odwrócił się, ale uspokoił się myślą, że jego imię i patronimik znane są profesorowi również z jakichś gazet. A profesor zawołał, złożywszy dłonie w trąbkę:

— Czy nie życzy pan sobie, żebym zaraz kazał wysłać telegram do pańskiego wujka w Kijowie?

Berliozem znów wstrząsnął dreszcz. Skąd obłąkany wie o istnieniu kijowskiego wujka? Przecież o tym z pewnością nie pisały żadne gazety. Hejże, czy aby Bezdomny nie ma racji? A jeżeli te dokumenty są lipne, co wtedy? Ach, cóż to za dziwny osobnik... Zadzwoń, zadzwoń! Szybko go wyjaśnią!

I niczego już więcej nie słuchając, Berlioz pobiegł dalej.

Naraz przy samym wyjściu na Bronną wstał z ławki na spotkanie redaktora dokładnie ten sam obywatel, który wtedy ulepił się w świetle słońca z gęstego upału.

Tylko że teraz nie był już eteryczny, lecz zwyczajny, z krwi i kości, i w zapadającym zmroku Berlioz wyraźnie zobaczył, że ma wąsiki jak kurze piórka, oczka maleńkie, ironiczne i na wpół pijane, a porteczki kraciaste, podciągnięte tak wysoko, że widać było brudne białe skarpetki.

Michał Aleksandrowicz aż odskoczył, ale pocieszył się takim wyjaśnieniem, że to głupi zbieg okoliczności i że w ogóle nie ma czasu teraz o tym rozmyślać.

— Szukacie turnikietu, obywatelu? — skrzeczącym tenorkiem poinformował się kraciasty typ. — Proszę tedy! Prosto, i wyjdzie pan, gdzie trzeba. Za wskazówkę należałoby się na ćwiarteczkę... na wzmocnienie... dla byłego regenta! — osobnik, wykrzywiając się, zamasyście zdjął swoją dżokejską czapeczkę.

Berlioz nie słuchał żebrzącego i błaznującego regenta, podbiegł do turnikietu i chwycił go ręką. Obrócił go i już zamierzał wkroczyć na

tory, kiedy w twarz chlusnęło mu czerwone i białe światło: w oszkłonej skrzynce zapalił się napis „Uwaga, tramwaj!”.

I ten tramwaj, skręcający świeżo położoną linią z Jermołajewskiego na Bronną, natychmiast nadleciał¹². Gdy minął zakręt i wyszedł na prostą, rozbłysnął nagle od wewnątrz elektrycznością, zawył i przyśpieszył.

Ostrożny Berlioz, chociaż stał w bezpiecznym miejscu, postanowił cofnąć się za bramkę, przesunął rękę na kołowrotku i zrobił krok do tyłu. A wtedy jego ręka ześliznęła się i spadła, noga niepowstrzymanie, jak po lodzie, pojechała po bruku, schodzącym pochyło ku torowiskowi, drugą nogę poderwało, i Berlioz runął na tory.

Starając się czegokolwiek uchwycić, Berlioz padł na wznak, lekko uderzywszy się potylicą o bruk, i zdążył zobaczyć w górze, ale czy z prawej, czy z lewej — tego nie zdążył już rozpoznać — poślaczany księżyc. Zdążył przewrócić się na bok, w tym samym momencie podciągając wściekłym ruchem nogi do brzucha i obróciwszy się, spostrzegł pędzącą wprost na niego z niepohamowaną siłą zupełnie białą ze strachu twarz kobiety motorniczej i jej purpurową przepaskę. Berlioz nie krzyknął, ale dookoła niego cała ulica zawyla rozpaczliwymi kobiecymi głosami. Motornicza szarpnęła elektryczny hamulec, wagon zarył nosem w ziemię, po czym momentalnie podskoczył i z okien wyleciały z łomotem i brzękiem szyby. Wtedy w mózgu Berlioza ktoś krzyknął rozpaczliwie: „Czyżby?...”. Jeszcze raz, ostatni raz mignął księżyc, ale już rozpadający się na kawałki, a potem zapadła ciemność.

Tramwaj nakrył Berlioza i pod ogrodzenie alei Patriarszych Stawów wyleciał na brukowaną pochyłość okrągły, ciemny przedmiot. Stoczył się z tej pochyłości i podskoczył na kamieniach brukowych Bronnej.

Była to odcięta głowa Berlioza.

ROZDZIAŁ 4

Pogoń

Ucichły histeryczne kobiece krzyki i świdrujące gwizdki milicjantów, dwie karetki sanitarne odwiozły: jedna — bezgłowe ciało i odciętą głowę do kostnicy, druga — ranioną odłamkami szkła ślicznotkę motorniczą, stróże w białych fartuchach sprzątnęli odłamki szyb i zasypali piaskiem krwawe kałuże, a Iwan Nikołajewicz jak upadł na ławkę, nie dobiegłszy do turnikietu, tak na niej pozostał.

Kilka razy próbował wstać, ale nogi odmawiały mu posłuszeństwa — Bezdomnego poraziło coś w rodzaju paraliżu.

Kiedy tylko poeta usłyszał pierwszy krzyk, ruszył biegiem do turnikietu i zobaczył, jak głowa podskakuje na jezdni. To mu do tego stopnia odebrało rozum, że kiedy upadł na ławkę, ugryzł się w rękę do krwi. Oczywiście zapomniał o obłąkanym Niemcu i starał się zrozumieć tylko jedno: jak to może być, że zaledwie przed chwilą rozmawiał z Berliozem, a po minucie — ta głowa...

Wzburzeni ludzie przebiegali aleją koło poety, coś wykrzykując, ale ich słów Iwan Nikołajewicz nie rozumiał.

Tymczasem tuż koło niego niespodziewanie wpadły na siebie dwie kobiety i jedna z nich, z ostrym nosem i gołą głową, krzyknęła do drugiej kobiety nad samym uchem poety coś takiego:

— To Annuszka, nasza Annuszka! Z Sadowej! To jej robota! Wzięła w spożywczy olej słonecznikowy i litrówką o kołowrotek trach! Całą spódnicę zapaskudziła... Ależ ona przeklinała, ależ przeklinała! A on, biedak, pewno się pośliznął i pojechał na szyny...

Ze wszystkiego, co ta kobieta krzyczała, w oszłomionym mózgu Iwana Nikołajewicza utkwiło tylko jedno słowo: „Annuszka”...

— Annuszka... Annuszka?... — wymamrotał poeta, rozglądając się niespokojnie. — Za pozwoleniem, za pozwoleniem...

Do słowa „Annuszka” doczepiły się słowa „olej słonecznikowy”, a potem z nieznanego powodu „Poncjusz Piłat”. Piłata poeta odrzucił i zaczął klecić łańcuszek, poczynając od słowa „Annuszka”. I łańcuszek ten ułożył się bardzo szybko, doprowadzając go natychmiast do obłąkanego profesora.

Najmocniej przepraszam! Przecież to on właśnie powiedział, że zebranie się nie odbędzie, dlatego że Annuszka rozlała olej. I proszę uprzejmie, naprawdę się nie odbędzie! Mało tego: powiedział wprost, że Berliozowi utnie głowę kobieta?! Tak, tak, tak! A tramwaj prowadziła kobieta! Co to ma znaczyć? Hę?

Nie było nawet cienia wątpliwości, że tajemniczy konsultant wcześniej znał dokładnie całą scenę okropnej śmierci Berlioza. Wtedy dwie myśli przeszły mózg poety. Pierwsza: „On wcale nie jest obłąkany! Wszystko to bzdury!” i druga: „Czy on sam tego nie zorganizował?”.

Ale pozwólcie spytać: w jaki sposób?

— No, nie! Tego się dowiemy!

Iwan Nikołajewicz wstał z ławki, zmuszając się do tego ogromnym wysiłkiem, i rzucił się z powrotem tam, gdzie rozmawiał z profesorem.

I okazało się, że ów na szczęście jeszcze nie uciekł.

Na Bronnej zapaliły się już latarnie, a nad Patriarszymi świecił złoty księżyc i w księżycowym, zawsze złudnym świetle Iwanowi Nikołajewiczowi wydało się, że profesor stoi, trzymając pod pachą nie laskę, lecz szpadę.

Emerytowany wścibski regent siedział na tym samym miejscu, gdzie jeszcze niedawno siedział sam Iwan Nikołajewicz. Teraz regent włożył sobie na nos zupełnie niepotrzebne binokle, w których jednego szkła w ogóle nie było, a drugie pękło. W tych okularach kraciasty obywatel był jeszcze obrzydliwszy niż wtedy, kiedy wskazywał Berliozowi drogę na tory.

Iwan z zamierającym sercem zbliżył się do profesora i zaglądając mu w twarz, upewnił się, że na tej twarzy nie ma i nie było żadnych oznak obłądu.

— Niech pan się przyzna, kim pan jest? — głucho spytał Iwan.

Cudzoziemiec nastroszył się, spojrzał tak, jakby pierwszy raz widział poetę, i odparł nieprzyjaźnie:

— Nie rozumie... mówić ruski...

— Ten pan nie rozumie! — wtrącił się z ławki regent, choć nikt go nie prosił o tłumaczenie słów cudzoziemca.

— Niech pan nie udaje! — powiedział groźnie Iwan i poczuł chłód w dołku. — Przed chwilą doskonale mówił pan po rosyjsku. Pan nie jest Niemcem i profesorem! Pan jest szpiegiem i mordercą! Dokumenty! — krzyknął z wściekłością Iwan.

Zagadkowy profesor z obrzydzeniem skrzywił i tak już krzywe usta i wzruszył ramionami.

— Obywatelu! — znów wtrącił swoje trzy grosze obrzydliwy regent. — Cóż wy tak denerwujecie zagranicznego turystę? Odpowiedcie za to! — A podejrzany profesor zrobił nadętą minę, odwrócił się i poszedł sobie, zostawiając Iwana samego.

Iwan poczuł, że traci grunt pod nogami. Łapiąc oddech, zwrócił się do regenta: